

Deborah Chiel

Uśmiech Mony Lisy

Powieść na podstawie filmowego scenariusza, którego autorami są: Lawrence Konner & Mark Rosenthal

Przekład Alicja Marcinkowska & AMBER

Tytuł oryginału MONA LISA SMILE

Redaktor serii MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta MAGDALENA KWIATKOWSKA MARIA RAWSKA

Ilustracja na okładce Motion Picture photography © 2003 Revolution Studios Distribution Company, LLC.

Motion Picture artwork © 2003 Columbia Pictures Industries, Inc.

All rights reserved.

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER
Skład WYDAWNICTWO AMBER Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu
<http://www.amber.sm.pl> <http://www.wydawnictwoamber.pl> Copyright © 2003 Revolution Studios Distribution Company, LLC. All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-1404-1

Dziewczętom z Emerson House Pit - tym sprzed wielu lat

Rozdział 1

Zmierzch, niebo w powodzi fioletu, rózu i granatu. Skulona obok okna w pociągu Super Chief z Los Angeles, Katherine Watson obserwowała, jak słońce powoli tonie za horyzontem. Ostatnim razem, kiedy pytała konduktora, byli gdzieś w Nebrasce.

Jutro wieczorem będzie w Chicago, w połowie drogi przez kraj, w połowie drogi do celu jej podróży.

Wellesley, Massachusetts.

Była wyczerpana minioną nocą i spaniem na siedząco, odczuwała radosne zniecierpliwienie za każdym razem, kiedy pomyślała o miejscu, które wkrótce będzie jej nowym domem: Wellesley College. Już same te słowa sprawiały, że drżała z podniecenia. Wypowiedziane głośno, wyczarowywały bogaty, elitarny świat, tak inny od UCLA, gdzie najpierw zrobiła licencjat, a potem zdobyła tytuł magistra historii sztuki.

Pociąg Super Chief służył z tego, że jego pasażerami były gwiazdy Hollywoodu, ale Katherine, podróżująca klasą turystyczną, nie zauważyła jak dotąd żadnych aktorów. Nie jadła w wagonie restauracyjnym, gdzie serwowano wykwiłtne potrawy i doskonałe wina; spakowała sobie do kilku brązowych papierowych toreb kanapki z szynką i serem, chipsy i pomarańcze. I choć nie mogła sobie pozwolić na pierwszą klasę, widoki były za darmo. Nie musiała dopłacać ani grosza, żeby rozkoszować się tym samym widokiem co pasażerowie pierwszej klasy: jałowa pustynia Kalifornii, śnieżne szczyty Gór Skalistych w Kolorado, płaskie pola pszenicy w Nebrasce. Sto lat wcześniej jej prababcia Katie - ciemnooka piękność, po której Katherine odziedziczyła imię, szeroki uśmiech i dźwięczny śmiech - przemierzała kontynent pionierskim wozem. Dwudziestosiemioletnia Iowa podróżowała z trójką małych dzieci i pięcioma puchowymi kołami, pod którymi grzali się w lodowate, zimowe miesiące. Zabrała też sobą rodzinną Biblię, strzelbę i kilka pędzli należących do jej zmarłego męża. Prawie wszystkie pozostałe rzeczy wyprzedawała, by mieć za co zacząć nowe życie na Zachodzie, gdzie ziemia była dostępna dla każdego, kto tylko był dość szalony i odważny, żeby tam osiąść. Katie przetrwała niebezpieczne burze gradowe i zamiecie śnieżne, wrogo stawionych Indian i złodziei, którzy próbowali ukraść jej krowy. Ta bieta o żelaznej woli i odwadze odcięła się od przeszłości, żeby stworzyć swojej rodzinie nowy dom i nowe życie w północno-zachodniej Mon-licie. Zgodnie z rodzinną legendą, Katherine przypominała swoją prababkę; dwie wyblakłe fotografie Katie już po pięćdziesiątce były dowodem to, że w tym twierdzeniu jest trochę prawdy.

Katherine odziedziczyła po Katie także niespokojną naturę i głód przyrody. Miała dobrą pracę jako wykładowca w Oakland Teachers College hłopaka, który za nią szalał, ale łaknęła odmiany. Była podekscytowana myśl o zaszczepieniu swoich zachodnich przekonań w Wellesley; obrażała sobie, jak otwiera na oścież okna i uwalnia sale wykładowe staroświeckich poglądów Wschodniego Wybrzeża na życie w ogóle, uwłaszcza na sztukę. Ale była też zdenerwowana. Jako pierwsza w rodzinie skończyła college; chodziła z zupełnie innych kręgów niż studentki i absolwentki Wellesley. Sporo spośród tamtejszych

wykładowczyń również ukończyło Wel-ley lub jeden z college'ów Seven Sister, elitarnego żeńskiego odpo-ednika Ivy League, prestiżowych szkół dla mężczyzn, do których zalicza: Yale, Harvard i Dartmouth. Niezależnie od tego jak bardzo będzie irala się dopasować, prawdopodobnie będzie odbierana jako outsider-przez te wszystkie dziewczęta w małych czarnych sukienkach, kaszirowych sweterkach i perłowych naszyjnikach, tak dobranych, by stwa-ać wrażenie swobodnej elegancji i przepychu. Nigdy nie będzie dzieląc ich przeświadczenia o własnej wyższości. Katherine przypo-triała sobie, że zaoferowano jej roczną posadę, bo komisja od spraw trudnienia była pod wrażeniem jej referencji, a nie rodowodu. Wellesley College - tam chciała być. Miała trzydzieści lat i była samot-.. Większość jej szkolnych przyjaciółek miało mężów i gromadkę dzieUważały, że jest świrem, skoro wyjeżdża na wschód, żeby uczyć i zbie-6 materiały do swojej rozprawy doktorskiej.

Kobiety dowiodły swojej wartości podczas drugiej wojny światowej, idejmując pracę na stanowiskach pozostawionych przez mężczyzn, którzy zostali wcieleni do armii. Matka Katherine pracowała na nocnej zmianie w fabryce amunicji.

- Robię bomby, żeby zmieść tych przeklętych nazistów z powierzchni ziemi - lubiła się przechwalać. Każdego popołudnia o siedemnastej wychodziła z domu z pudełkiem na lunch i chustką na głowie, żeby jej włosy nie wkręciły się maszynie.

Praca była nużąca i niebezpieczna. -Najlepsza robota, jaką w życiu miałam - zawsze mówiła. - To dowód na to, że my, dziewczyny, potrafimy pracować równie szybko i dobrze jak faceci.

Potem wojna się skończyła, mężczyźni powrócili do kraju i matka Katherine, tak jak inne kobiety, straciła swoje stanowisko przy linii montażowej. Nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do sprzątania domów bogaczy, a co za tym szło, przychodziła do własnego domu dopiero na kolację, ale była zbyt podminowana i wyczerpana, żeby jeszcze gotować. Życie powróciło na stare tory. Byli żołnierze dostali najlepsze stanowiska, samotne kobiety ponownie zostały ich sekretarkami albo podjęły pracę, której nie chciał wykonywać żaden mężczyzna. Zamężne kobiety siedziały w domu, nawet jeśli nie miały dzieci.

Katherine nie chciała zamienić swojej szansy na karierę na bardziej ustabilizowane, domowe życie. Kochała Paula, ale nie wiedziała, czy kocha go na tyle, by odrzucić możliwość nauczania historii sztuki w college'^ Perspektywa roku spędzonego na drugim końcu kontynentu, wśród najblyskotliwszych młodych kobiet w kraju, była bardzo pociągająca.

Tymczasem korzystała z rzadkiej okazji, kiedy miała czas tylko dla siebie, by móc w spokoju rozmyślać, czytać i szkicować zmieniający się krajobraz końca lata. W Oakland prawie w ogóle nie padał deszcz, trawniki były wysuszone, a stoki wzgórz spalone na brązowo i pokryte pyłem. W samym środku Ameryki trawa na łąkach była bujna i zielona, a drzewa właśnie zaczęły przybierać jesienne barwy.

W Chicago Katherine wsiadła do pociągu Twentieth-Century Limited, olśniewającej gwiazdy nowojorskiej kolei. Czerwony dywan był rozwinięty dla wszystkich bez wyjątku pasażerów tego luksusowego pociągu. I żadnego siedzenia przez całą noc; nawet podróżujący klasą ekonomiczną musieli wykupić miejsce do spania. Katherine zdecydowała się zatem na kuszetkę, co było najtańszym z dostępnych sposobów na odbycie tej szesnastogodzinnej podróży.

Była wyczerpana i wdzięczna za jakiegokolwiek łóżko po dwóch nocach spędzonych na siedząco w pociągu; poza tym prawie nie spała w nocy poprzedzającej dzień jej wyjazdu z Los Angeles. Tamtej nocy obudziła się gwałtownie ze snu, natychmiast zapominając, o czym śniła, i spojrzała zmrużonymi oczami na zegarek. Druga nad ranem. Poklepała miejsce bok niej w łóżku, gdzie powinien być Paul, przewróciła się na drugi bok zobaczyła, że siedzi oklapnięty na krześle, które od dawna mieli oddać 0 renowacji. Palił papierosa i udawał, że jest pochłonięty lekturą pisma, tóre przeczytał już wcześniej, a ona o tym wiedziała. Włączył

małą lampki na biurku, choć wpadające przez okno za jego plecami światło księżyca w pełni było tak mocne, że miała wrażenie, jakby mogła prześwietlić go duszę.

- Co się dzieje? - zapytała, chociaż знаła odpowiedź.

Pokłócili się. Inaczej nie paliłby w sypialni. Zaciągnął się po raz ostatni zgasił papierosa. Okno było otwarte, ale w pokoju śmierdziało dymem, znała, że lepiej o tym nie wspominać.

- Nie mogłem spać - powiedział.

- A to coś nowego. - Raz Paul przespał trzęsienie ziemi, które zniszczyło parę budynków kilka kilometrów od jego domu. - Miałeś zły sen?

- Nie, dobry - odparł. Przeszedł przez mały pokój, usiadł obok niej na izku i ujął za rękę. - Ten sen był o nas. O jutrzejszym poranku. Zaspałaś spóźniłaś się na pociąg do Wellesley.

Katherine ustawiła budzik na szóstą i była już spakowana. Nie zabrało j to dużo czasu. Nie miała wielu ubrań; jedna walizka była cała wypełniona książkami, fotografiami i slajdami.

- Chodź. - Starła się, żeby zabrzmiało to pogodnie.

Kłócili się przez cały tydzień z powodu jej decyzji o przyjęciu pracy Wellesley, od ostatniej środy, kiedy skontaktował się z nią doktor Staunton, dziekan wydziału sztuki.

Telefon zadzwonił o szóstej trzydzieści rano, wyrывая Katherine z głębokiego snu. Chwyła słuchawkę, dochodząc do siebie, kiedy usłyszała drugie stronie głos doktora Edwarda Stauntona. Z typową wschodnią ogancją nie zawracał sobie głowy trzygodzinną różnicą czasu pomiędzy Massachusetts i Kalifornią. Była tak zszokowana, słysząc jego głos, ledwie rozumiała, co do niej mówi; przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem nie śni.

Później starała się odtworzyć Paulowi, co dokładnie mówił: -...w ostatniej chwili... nieprzewidziane okoliczności... nie mieliśmy nekcji co do pani kwalifikacji... jest już późno... to musi przyspieszyć mi decyzję...

Nie odpowiedziała mu od razu. Paul leżał obok niej, zupełnie przytomny, a wyraz jego oczu był tak jasny, jak przejrzyste górskie jezioro. „Proszę, nie jedź.

Zostań tu ze mną”.

- Co za palant - powiedział. - Myślisz, że pstryknie palcami, a ty od razu lecisz.

10

Nie chciała się z nim kłócić, więc poczekała, aż wyszedł do pracy, a potem połączyła się z telefonistką i zamówiła bezpośrednie połączenie z doktorem Stauntonem. Tak, powiedziała mu. Z radością będzie pracować na jego wydziale i uczyć historii sztuki. Tak, zdąży przyjechać na inaugurację jesiennego semestru.

Paul zapalił kolejnego papierosa, przywołując szczegóły swojego snu.

- Byłaś zadowolona, że spóźniłaś się na ten pociąg. Powiedziałaś: „To banda zepsutych, bogatych białych dziewczyn, które zadzierają nosa. Poza tym dopiero teraz zaproponowali mi tę pracę. Musiałam być ich ostatnią deską ratunku”.

I co z tego? Nie miało dla niej znaczenia, że dostała tę pracę w ten sposób.

Liczyło się tylko to, że będzie uczyła w Wellesley.

- Przestań - powiedziała, machając ręką, żeby rozproszyć dym. Paul był zawsze pewien, że wie, co jest dla niej najlepsze. Poznali się w Griffith Park Zoo, gdzie pracowała dorywczo jako przewodniczka. Do Paula przyjechali z San Francisco dwaj siostrzeńcy; starszy, Ethan, wiedział o tropikalnych ptakach więcej od niej, a Aaron zadawał całą masę pytań na temat zwyczajów godowych małp, zwłaszcza goryli.

Ponownie wpadli na siebie w barze, gdzie chłopcy objadali się hot dogami, frytkami i lodami. Paul uparł się, że postawi jej kawę. Zanim chłopcy skończyli swoje podwójne rożki lodowe z czekoladową posypką, dała mu swój numer telefonu i zgodziła się na randkę, gdzieś z dala od małp, tukanów i dzieci.

To było prawie dwa lata temu. Choć nie mieszkali razem, spędzali ze sobą tyle czasu, że głupotą wydawało się utrzymywanie dwóch mieszkań. Ale ich luźny, niekonwencjonalny związek pasował Katherine.

Przed śmiercią matka powiedziała jej, że jest stuknięta.

- Taki przystojny facet, gwarancja przyzwoitego życia, a ty nie masz dość rozsądku, żeby go zaprowadzić do ołtarza? Chyba popełniłam jakieś błędy wychowawcze.

Paul był prawnikiem, jego klientami byli wędrowni robotnicy pracujący przy zbiorze winogron, sałaty i innych płodów rolnych za haniebnie niskie wynagrodzenie. Potrafił przegadać większość swoich przeciwników, ale nie mógł odwieść Katherine od jej postanowienia przyjęcia pracy w Wellesley.

- Zajęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu - przypomniał jej. - To zniewaga.

- Nie czuję się znieważona. Podniósł się i przeszedł przez pokój.

- Co robisz, kiedy wiesz, że ktoś popełnia błąd? Starasz się go od tego odwieść?

11

t Spiorunowała go wzrokiem.

- Chodzi ci o błąd, jaki właśnie popełniasz?

Maglowali to samo bez końca. Gdyby nie debatowali nad jej przyszło-:ią, może byłaby nawet rozbawiona jego uporem. Był jak mały, nadąsa-y chłopiec, który uparł się zjeść loda przed obiadem, choć wyraźnie mu owiedziano, że nic z tego.

Ale chodziło o jej życie i żałowała, że nawet nie spróbuje wykrzesać sobie odrobiny entuzjazmu.

- Nigdy nie rozumiałem twoich marzeń o tym, by uczyć w elitarnej szko-:, takiej jak Wellesley - powtórzył chyba po raz setny. Cała ironia polegała na tym, że ojciec Paula był absolwentem Yale, jego matka skończyła Smith College, jedną ze szkół Seven Sister. Katherine spotkała jego rodziców tylko raz: ojciec Paula przyjechał do Los.angeles w interesach, a jego matka wpadła przy okazji na zakupy i od-iedzała przyjaciół. Poszli na kolację w restauracji hotelu Bel Air, gdzie latka Paula w szybkim tempie opróżniła trzy kieliszki martini. Katherine była świadkiem, jak Paul potrafi zaprzyjaźnić się z salą peł-ą nieznajomych. Ale kiedy tylko usiadł przy stoliku z rodzicami, zamie-ił się w małego, nachmurzonego chłopca i cały czas bawił się sztucami.;go rodzice zignorowali to dziwne zachowanie i gawędzili z Katherine. Pani Moore namawiała ją, żeby zamówiła co tylko chce z menu. „Żad-ych ograniczeń, moja droga. Mój mąż uwielbia wydawać pieniądze na iękne dziewczyny" - powiedziała z pozbawionym wesołości uśmiechem, le kiedy zorientowali się, że Katherine nie zna nikogo z ich znajomych | Los Angeles, przestali włączać ją w swoją rozmowę. Katherine mało i obeszło. Jedzenie bardzo jej smakowało, nigdy też nie piła lepszego ina. Jednak atmosfera przy stole była napięta. Katherine miała wraże-ie, że tuż pod powierzchnią ich uprzejmej pogawędki zbiera się na pa-cudną kłótnię.

- Przecież ta szkoła to jedna wielka maskarada - powiedział Paul, wy-[ądając przez okno. Był odwrócony do niej plecami i wyglądał na zrezy-lowanego.

- Skąd możesz to wiedzieć? Studiują tam najinteligentniejsze dziew-sęta w kraju.

- Dlaczego uważasz, że będą chciały się uczyć od osoby, która nawet ie znała swojego ojca? Której matka zarabiała na życie sprzątaniem cu-?ych domów?

- Odczep się od mojej rodziny - odparowała. Nie chciała się z nim tócić, kiedy dzieliły ich tylko godziny od pożegnania. Ale niektóre sło-a były zbyt bolesne, żeby je zignorować, niektóre granice tak czułe, że trzeba ich było bronić przed wszelkimi intruzami. Nawet Paulem, którego kochała najbardziej na świecie. Spojrzał na nią zranionym, rozgniewanym wzrokiem.

- Dlaczego? Będą chcieli dowiedzieć się wszystkiego o twojej rodzinie. Liczy się dla nich tylko dobre pochodzenie.

Dla nich? Jakich ich? Nie знаła Paula od tej strony i przeraziło ją to. Mówił o wykładowcach i studentkach Wellesley? A może miał na myśli swoich rodziców i ich przyjaciół, ludzi, wśród których dorastał?

- Zrób coś dla mnie - powiedział, wypluwając słowa, jakby czuł niesmak. - Jeśli ci się tam nie spodoba, nie zostawaj tam z czystego uporu. Twoje miejsce jest tutaj, przy mnie.

Nie, Paul, pomyślała, gryząc się w język, żeby nie wypowiedzieć głośno zbyt raniących słów. Ja się tu duszę. Muszę poznać nowych ludzi, zgłębić inne poglądy.

Nowe perspektywy i nieznanne otoczenie były jej szansą na określenie, gdzie dokładnie jest jej miejsce.

Katherine przesiadła się w Nowym Jorku do Eastern Seaboard Express; dziwna nazwa jak na pociąg, który zatrzymywał się chyba we wszystkich małych miastach w Connecticut, Rhode Island i Massachusetts. Przycupnęła na brzeżku siedzenia, przegrzana i spocona, gdyż było niespodziewanie ciepło jak na tę porę roku, a ona miała na sobie nowy wełniany kostium, który kupiła na wyprzedazy w Neiman Marcus, i zdążyła już pożałować tego ekstrawaganckiego wydatku.

Była zbyt zmęczona, żeby szkicować, zbyt zdenerwowana, żeby czytać i było jej tak gorąco, że mogła myśleć jedynie o tym, jak ściąga ubranie i bierze pierwszy prysznic od prawie czterech dni. Pragnęła rozpaczliwie uwolnić się od zadymionego wagonu, otępiającej kombinacji gorąca i wilgoci, i swoich niespokojnych myśli. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak spaceruje po plaży o zmierzchu, a chłodny wietrzyk znad oceanu bawi się jej włosami. Czy był z nią Paul? A może spacerowała sama? Nie mogła się zdecydować... A potem potrząsnął nią konduktor, żeby się obudziła, bo dojeżdżali do Wellesley.

Peron był zatłoczony studentkami. Dziewczętami w modnych kostiumach i sukienkach. Dziewczętami, które były pewne siebie i wyrafinowane, roześmiane, emanujące radosnym podnieceniem. Dziewczętami, które pomimo gorąca nie były wymięte ani zmęczone, a włosy miały idealnie ułożone. Witwały się rozradowane, kiedy tragarze wyładowywali ciężkie kufry z wagonu bagażowego.

13

- Muffy! Berty! Dosie! Susan! Bibbie!

Powracające do college'u studentki ścisnęły się nawzajem i piszczały dekscytowane. Była jesień 1953 roku. Związek Radziecki miał bombę 3mową, a Ameryka senatora Joe McCarthy'ego. Kraj był pogrążony paranoi i strachu. Ale w Wellesley, gdzie tradycje były zaporą dla rze-ywistości, wykładowcy i studentki obserwowali to wszystko z dystan-; ich to nie dotyczyło.

Katherine natychmiast przeniosła się myślami z powrotem do czwartej isy, kiedy przybyła na urodzinowe przyjęcie w swojej najlepszej su-snce, i zobaczyła, że wszystkie pozostałe dziewczyny są w szortach obranych do nich obcisłych bluzeczkach. Dlaczego wszyscy oprócz sj wiedzieli, w co się ubrać? Jakie sygnały przeoczyła? Pożyczyła szor-od gospodyni przyjęcia i gdyby tylko nie była tak chuda, że szorty Igle się jej zsuwały, wszystko byłoby w porządku. Studentki ustawiły się w kolejce do taksówek. Katherine postawiła swoje ilizki przy krawężniku i zwróciła się do bagażowego, który przywoły-ił taksówkę.

- Jakiś autobus? - zapytała. ilzucił na nią okiem i roześmiał się.

- Niech pani lepiej idzie - powiedział,

Mie było autobusów? Pomyślała o długiej wędrówce pod górę do cam-su.

Przeliczyła, ile zostało jej pieniędzy na życie do pierwszej wypłaty, aczęła iść.

Wlokąc się pod górę do college'u, miała ochotę się uszczypnąć, bo Igle nie mogła uwierzyć, że tu jest. W Wellesley było jak na zdjęciach gielskich miasteczek uniwersyteckich Cambridge i Oksford: wytwor-, porośnięte bluszczem budynki w gregoriańskim stylu, zielone połączenie pielęgnowanych trawników przecinanych estetycznymi ścieżkami, dłużej których rosły kwiaty.

Dbok niej przemykały dziewczęta, pieszo lub na rowerach. Świeciło niebo, a niebieskie niebo było jakby żywcem przeniesione z obrazu Caletta. Białe chmury dryfowały niczym puchate, mięciutkie poduszki, i na pejzażach Constable'a, które zawsze podziwiała. Wzgórze było bardziej strome, niż Katherine myślała. A może tylko i się jej wydawało, bo targała ze sobą walizki, a przez ramię miała sewieszony zimowy płaszcz. W połowie drogi pożałowała, że nie wzięła sówki.

Zatrzymała się, żeby zapytać mężczyznę grabiącego trawę o drogę do budynku, gdzie zakwaterowani byli wykładowcy. Wskazał jej kierunek ze współczującym spojrzeniem, ale nie zaoferował pomocy przy sieniu bagaży.

14

Dziesięć minut później dotarła do swojego nowego domu, kamiennego budynku z dużą, przyjemną werandą. Po obu stronach drzwi frontowych stały wielkie bujane fotele z poduszkami, dość duże, by mogły pomieścić naraz dwie osoby.

Kierowniczkę odpowiedzialną za kwaterunek znalazła w jej gabinecie.

- Szkoda, że nie przyjechała pani wczoraj - powiedziała pani Babcock, niska, siwowłosa kobieta, z którą Katherine rozmawiała przez telefon po przyjęciu oferty doktora Stauntona. - Przed przyjazdem dziewcząt jest tu naprawdę spokojnie.

Wręczyła Katherine komplet kluczy i zaprowadziła ją na górę, do jej dwupokojowego mieszkania. Okazało się nadszpiewanie duże i niezłe wyposażone, niż się spodziewała. Z okien po obu stronach salonu rozciągał się widok na przysypany liśćmi kampus. Była tam kanapa z matowym, kwiecistym obiciem, fotel od kompletu i niska dębowa ława. Maleńka, wychuchana kuchenka, a za nią słoneczna sypialnia. Łóżko przykrywała biała, kordonkowa narzuta, pod ścianą stało staroświeckie dębowe biurko z wysuwającym blatem, a obok niego drewniana półka na książki. - Ślicznie tu - powiedziała Katherine, marząc o tym, żeby sięgnąć narzutę i zapaść w sen.

- Jeszcze tylko kilka zasad - uprzedziła pani Babcock. - Żadnych dziur w ścianach, hałasów ani zwierząt. Żadnego radia ani innego sprzętu grającego po dwudziestej w zwykły dzień tygodnia, po dwudziestej drugiej w weekend. Żadnych grzałek. I nie wolno przyjmować mężczyzn.

Kilka zasad? Katherine zmusiła się do zachowania poważnej miny. Tych reguł było tyle, że równie dobrze mogłaby zamieszkać w klasztorze. Tłumiąc chichot, usiłowała nie myśleć o tym, jak by na wszystkie zakazy zareagował Paul. Tak przyzwyczaiła się do samodzielności, że nie zniesie tylu ograniczeń. Był rok 1953, nie epoka wiktoriańska, a poza tym była już dorosła i nikt jej nie będzie mówił, co ma robić. Zmarszczyła brwi, próbując przybrać absolutnie poważną minę.

- Coś nie tak? - zapytała pani Babcock.

- Nie wiem, czy wytrzymam przez rok bez grzałki - powiedziała Katherine.

Pani Babcock zmarszczyła brwi. Zasady to zasady. Panna Watson będzie musiała znaleźć sobie inne lokum. Zaproponowała, żeby Katherine zadzwoniła do Nancy Abbey, jednej z wykładowczyń, która mieszka we własnym domu nieopodal kampusu i czasami wynajmuje pokoje wykładowcom w Wellesley kobietom. Pewnie się nie zgodzi na grzałkę w pokoju, ale może zaproponuje Katherine jakieś inne wyjście z sytuacji.

Katherine podziękowała pani Babcock i wykonała szybki telefon do Nancy Abbey, która powiedziała, że przypadkiem ma wolny pokój. zaproponowała, żeby Katherine wpadła na herbatę i od razu rzuciła na niego okiem.

Nancy Abbey mieszkała w wielkim dwupiętrowym domu w stylu wiktoriańskim. Była atrakcyjną kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat; miała na sobie modną sukienkę i cienki sznur pereł. Trwała ondulacja sprawiała, że każdy kosmyk jej ciemnych włosów leżał idealnie na swoim miejscu. Z łańcuszka na jej szyi zwisały okulary.

Kiedy Katherine przyznała, że właśnie przybyła po trzydniowej podróży pociągiem, Nancy szybko zorganizowała talerz z kanapkami i dzbanek herbaty, po czym zaczęła trząść się nad nią jak kwoka.

Katherine była bardziej zmęczona niż głodna i bardzo zależało jej na szybkim rozwiązaniu sprawy mieszkania. Ale Nancy z taką determinacją wypełniała swoje obowiązki gospodyni, że Katherine skubnęła kanapkę i wypila dwie filiżanki herbaty. W końcu Nancy uznała, że już czas pokazać pokój. Poprowadziła Katherine kręconymi schodami i otworzyła na oścież drzwi.

- Czyż perkal nie jest uroczy? - zapytała.

Katherine wpatrywała się oszołomiona w eksplozję kwiecistych wzorów pokrywających każdy centymetr sypialni, którą Nancy Abbey miała do wynajęcia.

- Spójrz. - Nancy odchyliła perkalową narzutę, odsłaniając prześcieradło w różowe kwiaty.

- Pasują- stwierdziła Katherine, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Nancy zachichotała. Abażur lampy obok łóżka również był w kwiaty, przewiązany pośrodku kokardą.

- Słodkie, prawda?

Katherine zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Ty urządziłaś ten pokój?

- Tak, to moja robota. - Nancy znowu zachichotała, wręczając Katherine klucz, do którego była przywiązana duża czerwona wstążka. - Ty mieszkasz tu, ja na drugim końcu, a pomiędzy nami Amanda Arm-strong. Później ją poznasz. Jest szkolną pielęgniarką. - Zacisnęła usta, jakby powstrzymując się, żeby nie powiedzieć czegoś więcej o Aman-dzie.

Kiedy Katherine szła za Nancy na dół, zauważyła na ścianie kolekcję czarnobiałych fotografii. Przyjrząwszy się im bliżej, zorientowała się, że przedstawiają Nancy i jej rodzinę.

- Wychowałaś się tutaj? - zapytała.

- Mieszkam tu całe życie. Poznasz moich krewnych, kiedy wpadnąz wizytą.

- Odwiedzają cię? - Było jej trudno wyobrazić sobie, że można całe życie mieszkać w jednym miejscu, a w dodatku w tym samym domu, w którym spędziło się dzieciństwo.

- Regularnie - powiedziała Nancy, pchając wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni.

Katherine równie dobrze mogłaby rozmawiać z istotą pochodzącą z innej planety, gdzie zwyczaje i tradycje kompletnie różniły się od wszystkiego, do czego była przyzwyczajona. Miała ochotę zadać jeszcze całą masę pytań, ale powstrzymała się i zapytała tylko:

- Uczysz retoryki i dykcji? -1 dobrych manier. Obiady są wspólne, poradzę sobie - powiedziała. -Ale co do śniadania i lunchu, każda robi sobie sama, więc - otworzyła lodówkę - każda ma swoją półkę.

Wskazała najwyższą półkę, oznakowaną Półka Amandy. Na półce niżej znajdował się niewielki znaczek z napisem Półka Nancy.

Uśmiechnęła się do Katherine, która nie wiedziała, co powiedzieć, nawet gdyby Nancy zamknęła buzię na tyle długo, by dało się coś wtrącić.

- Wieczorem zrobię ci etykietkę. Chyba nie muszę ci mówić, że wszystko, co znajduje się na osobistych półkach, jest święte.

Katherine pokiwała głową. Święte. Naturalnie.

- Od pierwszej chwili wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy - powiedziała Nancy.

Rozdział 2 T)ierwszego dnia semestru pogoda zamieniła się z letniej na jesienną. JL Katherine obudziła się, drżąc z zimna. Zostawiła szeroko otwarte okno, a między drzewami hulał wiatr. Niebo było w kolorze czystego błękitu, świeciło słońce, ale temperatura znacznie się obniżyła, jak to jesienią. Matka natura dobrze wiedziała, żeby nie igrać z tradycją Wellesley College. A tradycja nakazywała, by dziewczęta powróciły na zajęcia w swoich stylowych toczkach, nowych kaszmirowych bliźniakach, kraciastych spódnicach i dobranych do nich podkolanówkach oraz półbutach. 2 - Uśmiech Mony Lizy

17

Tradycja również wymagała, żeby pierwszego dnia wszyscy członkowie społeczności Wellesley wzięli udział w nabożeństwie w Houghton Memorial Chapel, gotyckim kościele z wysoką iglicą i dwoma ogromnymi witrażami od Tiffany'ego. Niezmienny od dziesięcioleci rytuał rozpoczynało bicie kościelnych dzwonów, które słycać było w każdym zakątku kampusu. Wykładowcy, wśród nich Katherine, siedzieli na podium. Pozostali pracownicy zatrudniani przez college, w tym sekretarki, kucharki, pokojówki i bagażowi, ulokowali się z tyłu kościoła.

Studentki wypłynęły z holów swoich rezydencji. Te, które przybyły wcześniej, zgromadziły się na monumentalnych schodach kościoła; te, które spóźniły się, bo piły kolejną filiżankę kawy, zebrały się na trawniku przed kościołem. Joan Brandwyn, przewodnicząca senierek, przedzierała się przez tłum, spiesząc się, by dotrzeć do frontowych schodów, zanim umilkną dzwony.

Kiedy chór zaczął śpiewać *Li/t Thine Eyes Mendelssohna*, Joan, której zaparło dech w piersi, poprawiła swój toczek i podeszła do drzwi kościoła. Zastukała głośno cztery razy.

Doktor Jocelyn Carr, rektor college'u, czekała po drugiej stronie drzwi.

- Kto puka do drzwi wiedzy? - zapytała.

- Jestem zwykłą kobietą - udzieliła uświęconej tradycją odpowiedzi Joan.

- Czego szukasz? - Rektor Carr również trzymała się scenariusza.

- Chcę pobudzić mojego ducha ciężką pracą i poświęcić moje życie nauce - odparła Joan wyraźnym, silnym głosem.

- W takim razie jesteś mile widziana. Wszystkie kobiety, które chcą podążać twoim śladem, również mogą wejść. Niniejszym oznajmiam rozpoczęcie roku akademickiego!

Rektor Carr otworzyła na oścież drzwi. Gromkie brawa dziewcząt prawie zagłuszyły Vivaldiego. Studentki wdarły się do środka, kiedy chór dotarł do radosnego zakończenia utworu. Dyrygentka ponownie uniosła batutę. Wszyscy zgromadzeni powstali, żeby odśpiewać hymn ich kościoła *O God Our Help in Ages Past*.

Rok akademicki 1953/54 został oficjalnie zainaugurowany.

Doktor Staunton był bardzo zajęty człowiekiem. Powtarzał to za każdym razem, kiedy Katherine dzwoniła do jego gabinetu, by poinformować go, że jest już w kampusie. Po trzecim telefonie dała sobie spokój z próbami umówienia się na spotkanie w celu przedyskutowania programu nauczania. Zgodnie z notatką podpisaną przez sekretarkę Stauntona,

18

Katherine miała prowadzić przeglądowe zajęcia z historii sztuki trzy razy w tygodniu, o dziewiątej. Przywiozła własny zestaw slajdów, magazyny oraz prowokujące wycinki z „Art Journal” i „Art News”. Przypominając sobie niezbyt miłą atmosferę, w jakiej przebiegała jej rozmowa kwalifikacyjna, uznała, że lepiej nie wdawać się w dyskusję z dziekanem o tym, czego powinna albo nie powinna uczyć.

W końcu doczekała się telefonu od jego sekretarki: doktor Staunton miał się z nią spotkać we wtorek o dziesiątej w sali konferencyjnej wydziału sztuki.

Jasne poranne słońce wlewało się przez witrażowe okna, kiedy Katherine weszła do sali. Wypolerowany stół miał kolor ciemnobrązowego mahoni. Na środku stołu, na wielkiej srebrnej tacy stały delikatne porcelanowe filiżanki do herbaty, każda ozdobiona innym kwiatowym motywem.

Wytworne życie. W katalogu college'u były szczegółowo opisane wspaniałe, od dawna ugruntowane tradycje Wellesley: Kwiatowa Niedziela i Toczenie Obręczy, Tradycyjne Śpiewy i Show Juniorek; popołudniowa herbatka, niedzielne nabożeństwo, a potem lunch z rostbefem i puddin-giem, raz w tygodniu kolacja przy świecach.

Katherine widywała kolacje przy świecach jedynie w restauracji na plaży, gdzie pracowała przez kilka miesięcy jako kelnerka po ukończeniu szkoły średniej. W knajpie tej serwowali wymyślne francuskie jedzenie, którego nie wolno było jeść pracownikom (choć i tak udawało im się napchać ślimakami, zupą cebulową i kaczką w pomarańczach, kiedy kierownictwo nie patrzyło). Katherine przywołała w myślach żywy obraz twarzy klientów - bogaci, zadbani, wielu z nich należało do śmietanki Hollywoodu; zdawali się młodszy i piękniejsi, kiedy wszystkie skazy rozmywały się w łagodnym blasku migoczących świec.

Od osób zgromadzonych wokół stołu konferencyjnego promieniowała siła i władza.

Powitali ją serdecznie, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie jest jedną z nich, w każdym razie jeszcze nie. Śmiali się, kiedy weszła. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że to nie ona była obiektem ich żartów. Przełknęła z trudem ślinę, starając się, by w czasie prezentacji nie drżał jej głos. Nie wiedzieli o jej życiu nic, poza faktami, które zawarła w życiorysie; nie mieli pojęcia, gdzie ani w jakich warunkach dorastała.

Doktor Carr była świetnym przykładem konserwatywnej elegancji w swoim dopasowanym tweedowym kostiumie i podwójnym sznurze wielkich pereł.

- Katherine Ann Watson, ukończyła z wyróżnieniem UCLA, publikowała w „Art Review” - powiedziała na przywitanie.

19

Katherine uśmiechnęła się i usiadła, starannie krzyżując nogi w kostkach.

Zastanawiała się, czemu się czuje jak niegrzeczna dziewczynka, którą wezwano do gabinetu dyrektora.

Doktor Carr skinęła na doktora Stauntona.

Katherine słyszała o doktorze Stauntonie na długo przed tym, zanim zdecydowała się podjąć pracę w Wellesley; był znawcą włoskich mistrzów i opublikował jedno z najbardziej znanych prac w tej dziedzinie.

- Jestem ciekaw, jaki wybrała pani temat swojej pracy doktorskiej - rzekł.

- Mistrzowie dwudziestego wieku - odpowiedziała.

Mały, zasklepiony w sobie świat krytyki sztuki był w okresie przejściowym. „Art News”, „Art Digest” i „The Nation”, pisma, które czytała z równym nabożeństwem, jak inni ludzie „Life” i „Time’a”, były pełne artykułów o Jacksonie Pollocku i Willemie DeKooningu. „Malarze akcji” wywołali w Nowym Jorku burzliwe dyskusje, a w Kalifornii, Richard Diebenkorn i David Park tworzyli zaprawioną posmakiem Zachodniego Wybrzeża nową

wersję ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Clement Greenberg, jeden z najbardziej zapalonych mecenasów amerykańskiego modernizmu, wsadził kij w gniazdo szerszeni, będąc bezkompromisowym w swojej absolutnej wierze w wagę powojennej amerykańskiej sztuki abstrakcyjnej.

Jak kogoś deklarującego szczere zainteresowanie sztuką mógł nie podniecać cały ten ferment i kontrowersje? Rewolucja, która rozpoczęła się w dziewiętnastowiecznym Paryżu, zwiastowała nowy sposób myślenia nie tylko w odniesieniu do sztuki, ale też polityki, ekonomii i psychologii. Ikonografia, temat i koneserstwo to wszystko było istotne w studiach nad historią sztuki, ale w pracach Duchampa, Mondriana, Matisse'a i Picassa można było dostrzec wiele innych, równie przyciągających uwagę kwestii.

Bostońskie Muzeum Sztuk Pięknych było w posiadaniu jednego z arcydzieł Gauguina Skąd przybywamy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy? Katherine miała na biurku kopię tego obrazu wielkości pocztówki. Kiedy pierwszy raz zobaczyła Panny z Awinionu Picassa, gapiała się na nie z otwartymi ustami w szczerym zdumieniu. Jak udało mu się rozwinąć tak całkowicie radykalną wizję, niepodobną do niczego, co istniało wcześniej?

Miała nadzieję, że owo zaciekawienie zdoła zaszczepić swoim studentkom.

Nachyliła się do przodu, gotowa podzielić się swoim entuzjazmem z doktorem Stauntonem i dwiema obecnymi w sali kobietami.

- Wiek ledwie przekroczył półmetek. - Doktor Staunton klepnął jej papierową teczkę. Odsunął ją od siebie, jakby pozbywał się resztek nie-apetycznego obiadu.

- Kto wie, którzy ze współczesnych przetrwają? Ale

20

pani sugeruje, cytując: „Picasso zrobi dla dwudziestego wieku, to co Michał Anioł dla renesansu”. Koniec cytatu.

Napisała to zdanie wczesnym letnim rankiem, siedząc na maleńkiej werandzie, przylegającej do jej mieszkania. Uniósłszy wzrok znad maszyny do pisania, zobaczyła kota czającego się przy pojemnikach na śmieci za garażem. Słońce dopiero się wznosiło, ale powietrze było już nagrzane, a nad miastem unosiły się opary. Przeszedł ją dreszcz podniecenia: żyła w połowie stulecia i była świadkiem rozkwitu Stanów Zjednoczonych jako centrum zupełnie nowej sztuki. A co najlepsze, skończyła, po tak ciężkiej pracy, swoją dysertację.

Teraz, odczytana głośno przez doktora Stauntona, jej konkluzja zabrzmiała pompatycznie i pretensjonalnie. Słowa będące efektem zbyt małej ilości snu i zbyt dużej ilości kawy.

- Oczywiście jeśli chodzi o wpływ na nowe kierunki - powiedziała, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

Do diabła, powinna zdawać sobie sprawę, że Staunton, zagrzebany po uszy w średniowieczu, będzie starym nudziarzem, który absolutnie nie gustuje w nowoczesnej sztuce. Od samego początku wiedział, że specjalizuje się w sztuce dwudziestego wieku. Jeśli chcieli mieć jeszcze jednego specjalistę od włoskiego baroku, po co w takim razie zatrudnili ją?

- Czy te płótna, które się nam obecnie prezentuje, ochlapane ściekającą farbą- uśmiechnął się ironicznie do doktor Carr i pani Warren, przewodniczącej Stowarzyszenia Absolwentek - są warte naszej uwagi na równi z Kaplicą Sykstyńską Michała Anioła?

Owszem, wszystkie są warte naszego zainteresowania, chciała mu powiedzieć Katherine. Powinniśmy zwracać uwagę na wszelkie nowe lub inne zjawiska, zamiast je ignorować. Jak inaczej określilibyśmy granicę pomiędzy sztuką a kiczem, geniuszem a miernotą, oryginałem a odtwór-czością?

- Nie porównuję nowoczesnej sztuki z Kaplicą Sykstyńską - powiedziała z nadzieją, że zabrzmiało to spokojnie.

- W porządku, no to załatwione - wtrąciła się rektor Carr. - Wszyscy zgadzamy się co do piękna Kaplicy Sykstyńskiej. Tak przy okazji, twój krawat, Edwardzie...

Uśmiechnęła się do Katherine, kiedy doktor Staunton zerknął w dół i nerwowo dotknął węzła krawata.

- Pani Warren?

Lucinda Warren, lekko po pięćdziesiątce, o surowym obliczu, miała na sobie mały kapelusik, dyskretnie przycupnięty na szczycie obficie spryskanych lakierem włosów, i białe rękawiczki, które ściągnęła z gwałtownym

21

i Dym papierosowy spowijał ją jak woalka. Pokręciła głową, nlnych pytań. *<l\ kolwiek widziała pani Kaplicę Sykstyńską, panno Watson? |*nii? - Doktor Staunton kontynuował swoje przesłuchanie, i ii iąporunującym wzrokiem, jakby chciał ją zmusić do twier-\ icdzi. » nic byłam w Europie - powiedziała stanowczo. Ale gdyby do11 a za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie, że tam jest, dbyć tę podróż, i to pierwszą klasą w obie strony. Studiowała I i książki, kontemplowała fotografie najsłynniejszych miast, *. Imtedr, uczyła się na pamięć opisów: Francja, Włochy, HiszpaK Rzym, Florencja, Barcelona... Luwr i Prado. Jej sny były 1111 ne obrazami miejsc i arcydzieł, których jeszcze nie widziała. \ |l w 'działem - zagrzmiął doktor Staunton, jakby przemawiał z polum 'In i I umów. - Stałem tam przez wiele godzin. Nie ma dnia, żebym

[m nie myślał, żebym na nowo nie przeżywał zdumienia. Czy uważa 1111 /c prace Picassa oddziałują na ludzi w ten sam sposób?

I \ ni i patyczny dureń. Jej uznanie dla Picassa w żaden sposób nie umniejszało geniuszu Michała Anioła ani nie dewaluowało Kaplicy Sykstyńskiej jako triumfu artystycznych osiągnięć odrodzenia. Ale Michał Anioł 1/ od dawna nie żył i ludzie jak doktor Staunton, obawiający się zmian postępu, byli najwyraźniej przerażeni picassowskąredefinicjąartystycznej perspektywy i stale ewoluującą wizją.

Katherine spojrzała doktorowi Stauntonowi w oczy i uśmiechnęła się (romnie.

- Doktorze Staunton, nie ma żadnego problemu, będę trzymać się sed-i programu.

Patrzył na nią znad oprawek swoich okularów, jakby oceniając praw-dwośćjej oświadczenia.

- Prehistoria do Grecji - rzekł, rzucając na biurko przed nią wypchaną czkę z powielonymi papierami. Podał jej następną teczkę. - Wczesny;nesans do romantyzmu. Cały program.

Aż chrząknął z wysiłku, stawiając na biurku obok teжки ciężką drewnianą skrzynkę ze slajdami.

- Slajdy są ponumerowane zgodnie z kolejnością cytatów w wykładach. Zaczynało do niej docierać, o co w tym wszystkim chodzi. Nie było tu iejsca na Matisse'a, Moneta, a już na pewno Picassa.

- Przywiozłam własne slajdy - powiedziała. Przesunął w jej kierunku skrzynkę ze slajdami.

- Nie wątpię - stwierdził.

22

I

Katherine nagle poczuła się tak wyczerpana, że pragnęła jedynie zwinąć się w swoim fotelu i zapaść w drzemkę, jak kot w promieniach południowego słońca.

Rzadko drzemała w ciągu dnia. Ale teraz doświadczała tak przytłaczającego, obezwładniającego zmęczenia, że żadna ilość kawy nie była w stanie tego przezwyciężyć.

Zmusiła się, żeby obejść stół i uściskać im dłonie. Matka wkładała jej zawsze do głowy, jak ważne są dobre maniery.

- Nie mamy pieniędzy, ale to nie znaczy, że nie potrafimy się zachować - mawiała, przypominając Katherine o używaniu słów „proszę” i „dziękuję”, oraz o tym, że poznając kogoś, ma patrzeć tej osobie prosto w oczy.

- Dziękuję, panno Watson, i powodzenia - powiedziała rektor Carr.

Lekcja dobiegła końca.

Rozdział 3 Katherine wylała resztki kawy do zlewu. Po kawie tylko wzmogło się jej zdenerwowanie. Miała problemy ze spaniem, ale nie wiedziała, czy to z powodu podekscytowania, czy raczej napięcia. Przygotowała sobie ubranie już poprzedniego wieczoru - kostium z Neiman Marcus i sznur pereł. Ale rano uznała, że ten strój jest zbyt ostentacyjny, jakby próbowała za wszelką cenę zrobić dobre wrażenie.

Przebrała się w bardziej swobodny zestaw: bawełniany sweter i granatowa spódnica. Kiedy przyjrzała się sobie w lustrze, stwierdziła, że wygląda na młodą i niedoświadczoną. Włożyła z powrotem kostium i wypila kawę. A teraz groziło jej, że jeśli się nie pospieszy, spóźni się swojego pierwszego dnia na uczelni.

Współlokatorka Katherine, Amanda Armstrong, szkolna pielęgniarka, szczupła, elegancka, w wieku około czterdziestu pięciu lat, towarzyszyła jej w drodze na zajęcia. Tuż zanim Katherine weszła do środka, Amanda powiedziała:

- Uważaj. Potrafią wyczuć strach.

Tak. Jeszcze tylko to Katherine potrzebowała usłyszeć.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Katherine w oczy, było, że czy to Welle-sley, czy Oakland Teacher's College, sale wykładowe wszędzie wyglądają tak samo: wielkie, ponure pomieszczenie ze złą akustyką, gdzie rozbrzmiewa

23

echo. I że jej studentki są punktualne. Kiedy wpadła do sali, już siedziały na swoich miejscach.

„Dobry dzień” - powiedziała zadyszana.

Spójrzała najakiej pięćdziesiąt dziewcząt rozsiadanych po całej sali, rozsiadanych [czy poprosić je, by wszystkie przesiadły się do przodu, ale kiedy tym głębiej zastanowiła, przypomniała sobie ostrzeżenie Amandy Potrafią wyczuć strach”. Walilo jej serce. Jak przysuną się choć odrobinę bliżej, zapewne to usłyszą, zobaczą jej przerażenie. Ostrożnie rozłożyła przed sobą program nauczania doktora Stauntona.

I o są zajęcia z historii sztuki - powiedziała, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to dość niepewnie. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. - Będziemy trzymać się programu doktora Stauntona.

Nagle miała w głowie kompletną pustkę. Nie mogła sobie przypomnieć, co jeszcze powinna powiedzieć lub zrobić. Dziewczęta wpatrywały się w nią, ich oczy jak promienie rentgenowskie przebijały się przez zewnętrzną fasadę, przeświecając jej panikę. Nigdy nie była równie wystraszona przed studentami; bała się nawet bardziej niż za pierwszym razem, kiedy weszła na salę jak wykładowca.

Nie mogła tak po prostu stać jak kołek, usiłując sobie przypomnieć, co powinno być dalej. Musiała coś zrobić.

- Zapomniałam o czymś? - spytała. Czy to pytanie zabrzmiało dla nich równie głupio jak dla niej?

Odpowiedziała jej krępa dziewczyna z drugiego rzędu. Miała figlarny błysk w oku i kręcone brązowe włosy.

- Pani nazwisko?

Jej nazwisko. Jak mogła zapomnieć o tym, żeby się przedstawić? Miała wielką ochotę, żeby wyjść z sali i pójść prosto na stację kolejową. Zwalczając pokusę, zaproponowała:

- Może ty pierwsza?

- Connie Baker - odpowiedziała krępa dziewczyna.

Katherine ułożyła usta do uśmiechu i miała nadzieję, że jej wyszedł.

- Katherine Watson. Miło mi cię poznać.

- Doktor Watson, jak przypuszczam? - zapytała wysoka ciemnowłosa piękność.

Katherine zignorowała śmiech studentek i zwróciła się do dziewczyny 3 dużych brązowych oczach, z których biła inteligencja.

- Jeszcze nie. Z kim mam przyjemność?

- Giselle Levy. - Dziewczyna wstała i ukłoniła się.

- No dobrze - powiedziała Katherine, czując się jak Kopciuszek wo-?ec przytłaczającego wyrafinowania Giselle Levy. - Czy ktoś może zga24 sić... - Ładna rudowłosa dziewczyna siedząca z przodu ruszyła do przełącznika. - ... światło? - dokończyła Katherine, kiedy w sali zapadła ciemność. - Dziękuję, panno...?

- Susan Delacorte - powiedział głos z pierwszego rzędu.

Slajd numer jeden ze skrzynki doktora Stauntona: naskalne malowidło zranionego bizona. Katherine wpatrywała się w obraz. Było wiele innych, bardziej pobudzających do myślenia sposobów na zgłębianie ewolucji sztuki i jej odniesienia do dwudziestowiecznej kultury. Malowidła naskalne dowodziły, że nawet prymitywny człowiek miał potrzebę tworzenia obrazów. Ale dlaczego nie szukać związków między ważnymi prądami dwudziestowiecznego świata sztuki i tego, jak ewoluowały bądź na jakie wcześniejsze wpływy były reakcją?

Zbyt radykalne. Zamiast poddać to pytanie pod dyskusję, Katherine posłusznie trzymała się programu ustalonego przez doktora Stauntona.

- Od zarania dziejów człowiek miał potrzebę tworzenia sztuki. Czy ktoś wie, co to jest?

Rozległo się głośnie prychnięcie. Gdyby Katherine się nad tym zastanowiła, pewnie domyśliłaby się, że prychnięcie mogło pochodzić od osoby o nazwisku Warren.

- Ranny bizon, Altamira, Hiszpania, około piętnaście tysięcy lat przed naszą erą- padła bardziej uprzejma odpowiedź. - Joan Brandwyn - przedstawiła się ładna blondynka.

- Bardzo dobrze, Joan. - Katherine starała się, by w jej głosie nie słyhać było znudzenia, jakie sama odczuwała w związku z tym wykładem. - Niezależnie od tego, jak stare są te malowidła, warsztatowo są bardzo wyszukane, ze względu...

- Na światłocien i zróżnicowanie grubości kreski biegnącej wzdłuż garbu bizona - powiedziała Joan zgrabnie kończąc jej wypowiedź. - Zgadza się, panno Watson?

Katherine przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Dokładnie tak. - Wyświetliła następny slajd. - Stado koni. To malowidło jest wam pewnie mniej znane. Zostało odkryte przez archeologów w...

- W tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym. - Głos, który nie należał do Joan, podał poprawne dane. - Lascaux, Francja, datowane na dziesięć tysięcy lat przed naszą erą. Cenne ze względu na płynne linie ukazujące ruch zwierząt.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Katherine. - Nazwisko?

- Autor nieznany.

- Chodziło mi o twoje nazwisko. - Katherine postanowiła zignorować żart.

25

- Nazywamy ją Flicka! - krzyknęła Giselle Levy.

Był to głupi dowcip, ale dziewczęta odpowiedziały pełnym uznaniem śmiechem. Film My Friend Flicka był wyświetlany jakieś dziesięć lat temu, dedy te dziewczęta były akurat w odpowiednim wieku, żeby szaleć na nmkcie filmu, w którym koń grał główną rolę.

- Elizabeth Warren. Ludzie mówią na mnie Betty.

Bingo. Tak jak się domyślała. Córka pani Warren. Miała pecha, że ta Iziewczyna znalazła się w jej grupie. Katherine zaczerpnęła głęboko po-yietrza, a potem zmusiła się do uśmiechu, robiąc to bardziej dla siebie niż ze względu na studentki, gdyż w sali było zbyt ciemno, by dziewczęta mogły widzieć wyraz jej twarzy.

- Dobrze - powiedziała. - Betty również ma rację. Tylko dlatego, że: oś jest wiekowe, nie znaczy, że jest prymitywne. Na przykład - wyświetliła kolejny slajd - Mykerynos i jego królowa. Dwa tysiące czterysta siedemdziesiąty rok przed naszą erą. To posąg grobowy faraona i jego tony, mający za zadanie przechować ka faraona. Duszę.

- Wykonany ze szczególnie twardego kamienia, wskazującego na trwa-ość i nieśmiertelność samej duszy - dodała Connie.

Komentarz był tak precyzyjny, że Katherine zastanawiała się, czy ta Iziewczyna nauczyła się podręcznika na pamięć. Właściwie wszystkie iziewczyny, które zabierały głos, klepały informacje bez zająknięcia. Jderzyła ją dziwna myśl.

- Czy któraś z was już wcześniej chodziła na zajęcia z historii sztuki?

Dziewczęta"odpowiedziały chóralnym „nie”.

- No to jedziemy dalej - powiedziała, zdezorientowana ich znajomością tematu. Po co zapisały się na zajęcia, skoro już miały tak rozległą wiedzę?

Wyświetliła resztę slajdów. Za każdym razem, kiedy na ekranie pojawiał się obraz, jedna lub kilka dziewcząt natychmiast wykrzykiwało na-;wę dzieła i daty.

Przełóżarka brzdęknęła po raz kolejny.

- Orząca para wieśniaków, Egipt, szesnasty wiek przed naszą erą. Kolejny slajd - Bogini z węzami, Kreta, tysiąc sześćsetny rok przed naszą erą. I jeszcze jeden.

- Maski pogrzebowe, Mykeny, tysiąc pięćsetny rok przed naszą erą. Bez chwili wahania. Były obkute na blachę.

- Czy ktoś może włączyć światło? Dziękuję. - Zbierały już swoje no-:atniki i torby, przygotowując się do przejścia na kolejne zajęcia. Ale ona nie zamierzała wypuścić ich tak łatwo. Czowała się tu zupełnie zbyt uczona.

26

- Ile z was przeczytało cały tekst? - zapytała. - Możecie podnieść ręce?

Wszystkie ręce wystrzeliły w górę. -1 zalecone lektury uzupełniające - powiedziała Susan.

Więc co, u licha, ona tu robi? Dlaczego Staunton w ogóle ją zatrudnił? Na pewno wiedział, że zdążyły wykuć już wszystko na pamięć. Po co zawracać sobie głowę wykładami?

- Przebyła pani daleką drogę z Oakland State, prawda? - spytała Giselle Levy.

Katherine zaczęło kręcić się w głowie, jakby za chwilę miała zemdleć. Oparła się ręką o pulpit, żeby utrzymać równowagę, i popatrzyła na dziewczęta. Ich twarze były zamazane, nie pamiętała ani jednego imienia.

- Proszę, proszę, naprawdę dobrze się przygotowaliście - powiedziała słabo.

Betty podniosła się z krzesła.

- Jeśli nie ma pani dla nas nic więcej, możemy iść się pouczyć - powiedziała.

Nie ufając sobie na tyle, by się odezwać, Katherine kiwnęła głową. Zaczęła upychać swoje notatki do aktówki, licząc na to, że dziewczyny szybko opuszczą salę, a wtedy będzie mogła usiąść i dojsć do siebie.

Zaczęły wychodzić gęsiego; kiedy uniosła wzrok i zauważyła wymykającego się z sali doktora Stauntona. Od jak dawna tu był i jak dużo zdążył usłyszeć z tej wymiany zdań pomiędzy nią studentkami? Czy zamierzał regularnie się zakradać i ją szpiegować? Jeśli tak, być może powrotny bilet do Kalifornii będzie jej potrzebny o wiele szybciej, niż przypuszczała.

Tęskniła za domem. Nie było innego sposobu na wyjaśnienie tego, jak się czuła. A czuła się samotna, nieszczęśliwa i marzyła o tym, żeby znaleźć się w ramionach Paula, słuchając jednej z ich ulubionych płyt gramofonowych. Włączyła radio i trafiła akurat na Nat King Cole'a, ale słuchanie I've Got a Crush on You było zbyt bolesne w samotności, kiedy Paul był oddalony od niej o prawie pięć tysięcy kilometrów.

Próbowała rozproszyc ponure myśli, wypakowując resztę swoich książek, małej obraz mostu Golden Gate, który dostała od Paula w charakterze prezentu pożegnalnego, muszelki zebrane na Stinson Beach. I swoje ulubione zdjęcie, na którym jej matka leżała w szortach na trawie w Golden Gate Park, śmiejąc się do obiektywu aparatu.

Wszystkie te pamiątki z domu tylko nasiliły ból w jej piersi. Pomyślała, że zejdzie do kuchni, zrobi sobie filiżankę herbaty. Potem przypomniała

27

sobie, że skończyło się jej mleko, więc będzie musiała pożyczyć. Ale Amandy nie było w domu, a perspektywa zaliczenia wykładu Nancy na temat tego, że półka w lodówce powinna być dobrze zaopatrzona, była zbyt przerażająca, by w ogóle coś takiego rozważać.

Nie chciało się jej spać i była już przygotowana do dwóch kolejnych wykładów.

Choć niechętnie to przyznawała, przychodziła jej do głowy tylko jedna rzecz, która mogła rozwiązać jej przygnębienie, może nawet rozweselić. Włożyła szlafrok i kapcie, po czym zeszła cichutko na dół, by skorzystać ze wspólnego telefonu.

Wykręciła numer centrali rozmów zamiejscowych i poprosiła o połączenie z numerem Paula na jego koszt, modląc się, żeby był w domu.

Podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo? - Jego głos był tak wyraźny, jakby mieszkali przy tej samej ulicy.

- To ja - powiedziała szybko, jeszcze zanim telefonistka zdążyła się odezwać.

- Hej! - Wydawał się zaskoczony. I szczęśliwy.

Bała się, że może być na nią zły z powodu kłótni ostatniej nocy przed jej wyjazdem -tyle tylko, że kiedy już wyrzucili z siebie wszystkie gniewne słowa, jakimś cudem znaleźli się na nowo w swoich objęciach i cicho się kochali. Spał jeszcze, kiedy wstała kilka godzin później i nie chciała go budzić. Pocałowała go delikatnie w policzek i wymknęła się na paluszkach z domu. Nie rozmawiali ze sobą od tamtej pory i nie była pewna, czy w ogóle będzie zadowolony, jeśli się do niego odezwie. Nie powinna była się tym tak zadreć.

- Telefon od Katherine Watson na koszt abonenta - powiedziała telefonistka. - Zgadza się pan?

- Tak, oczywiście - powiedział i oczy Katherine wypełniły się łzami. -Wszystko w porządku?

Przygryzła mocno dolną wargę. Bała się, że jak zacznie płakać, nie będzie mogła przestać.

- Katherine? - Zabrzmiało to tak, jakby nie był pewien, czy nadal tam jest.

Przełknęła z trudem ślinę, próbując zdusić szloch; jej gardło było boleśnie ściśnięte.

- Tak? - wyszeptała, bo nie było jej stać na nic więcej.

- Nie jest lekko, co? - Nie był wcale zadowolony, że wyszło na jego. Wydawał się smutny.

- Tak. - Czuła, jak jego miłość wypełnia jej serce, podpierając jej wędną wiarę w siebie.

28

- Jak zajęcia?

Z góry do małego saloniku zeszła Nancy. Katherine czekała, aż włączy telewizor, ale poza własnym oddechem nie słyszała kompletnie nic. Czuła obecność Nancy dokładnie po drugiej stronie ściany, wyczuwała jej ciekawość.

- Banda snobów, prawda? - powiedział Paul. -Nie chcę mówić: „A nie mówiłem”.
- Nie musisz - szepnęła Katherine.,
- Nie słyszę cię, skarbie - powiedział Paul.

Nancy włączyła telewizor. Rozległ się sygnał reklamy Marlboro. Katherine przycisnęła słuchawkę do ust i powiedziała odrobinę głośniej:

- Trudno mi teraz rozmawiać.
- Wracaj do domu - rzekł Paul ochryplym z tęsknoty głosem.
- Napiszę dziś do ciebie - obiecała.

Rozłączyła się bez pożegnania, nie słysząc zapewnienia o jego miłości. Stała przez chwilę bez ruchu przy telefonie. Nie miała pojęcia, dlaczego tu zostaje; wiedziała tylko, że nie wraca do domu, w każdym razie nie w najbliższym czasie.

Jej rozmyślania przerwała Nancy, która wołała do niej, przekrzykując telewizor.

- Rozmawiałas ze swoim facetem?!

Katherine weszła do pokoju, który był umeblowany replikami sprzętów od Ethana Allena.

- On tam. Ja tu. Kto wie, co będzie?

- Duża odległość to prawdziwa tortura - powiedziała współczująco Nancy. - Wiem coś o tym. Kiedy Lenny wyjechał na południowy Pacyfik, miałam złamane serce.

Pisaliśmy do siebie codziennie, dopóki... -Głos jej się załamał. Przetarła oczy haftowaną płócienną chusteczką. -Był wspaniałym człowiekiem.

- Przykro mi - powiedziała Katherine. Nancy uśmiechnęła się blade.

- To było wieki temu. Papłę bez sensu. Siadaj. - Nakrycie sofy było dopasowane do ogólnego wystroju pokoju, wzór ukazywał wnętrze chaty, łącznie z maleńkim paleniskiem i bujanym fotelem. - Jest rozkładana, można zrobić z niej łóżko.

Sprytne, prawda?

Rozległ się temat muzyczny końcówki programu / Love Lucy. Nancy pochyliła się i ściszyła telewizor.

- Uwielbiam Lucy, nawet jeśli jest komunistką-powiedziała. Katherine nigdy wcześniej nie słyszała tej plotki. Już miała powiedzieć Nancy, że się myli, kiedy do pokoju weszła Amanda.

29

- Lucy ma jedynie czerwone włosy i nic poza tym - oznajmiła. - A na-vee i one nie są prawdziwe. - Uśmiechnęła się szeroko do Katherine. -Mdzę, że przetrwałaś.

- Ledwie. - Ale pomogła jej rozmowa z Paulem, tak samo oglądanie telewizji z nowymi przyjaciółkami sprawiało jej przyjemność.

- Skoro Lucy się już skończyła, może zjemy jakąś kolację? - zaproponowała Nancy.

Amanda mrugnęła do Katherine za plecami Nancy.

- Może po drinku?

Katherine odpowiedziała kiwnięciem głowy na obie propozycje. Nagle)oczuła, że jest głodna. Poszła za Nancy do kuchni, a Amanda została, teby wyjąć kieliszki do wina z dębowego kredensu.

- Jej towarzyszka umarła w maju - szepnęła Nancy, mieszając w garncu na kuchence. ^
Towarzyszka? - Katherine wyjęła z szuflady biały płócienny obrus rozłożyła go na stole.

- Towarzyszka - powtórzyła Nancy, ciągle szeptem. - Josephine Burns. Drzez trzydzieści lat uczyła tu biologii.

Katherine nadal się nad tym głowiła, kiedy do kuchni weszła Amanda.

- Nic nie przyciąga tak uwagi jak szept - powiedziała, gromiąc Nancy wzrokiem.

Uniosła butelkę czerwonego wina, zwracając się do Katherine: - Mam nadzieję, że lubisz czerwone.

Katherine pijała wino tylko od czasu do czasu, kiedy jedli z Paulem colację w małej włoskiej, restauracji na Long Beach, gdzie jedzenie było laszpiwowane czosnkiem, a wielkie butelki chianti stały w plecionych koszyczkach. Francuskie wino było dla niej nowym doświadczeniem, jed-lym z wielu w tym tygodniu.

Patrzyła, jak Amanda nalewa wino do wysokich kryształowych kielichów. Czy były częścią wyprawy ślubnej Nancy, którą miała zamiar się podzielić ze swoim narzeczonym? Brzegi kielisz-ców zdobiła delikatna linia liści winorośli. O wiele bardziej pasowały do iziewczęcej, przepojonej romantyzmem Nancy, niż do nowoczesnej, stawiającej na prostotę stylu Amandy.

Patrząc na Amandę, Katherine rozumiała, o co chodziło Nancy z tą:owarzystką.

Josephine Burns była „bliskąprzyjaciółką” Amandy. Były ak te dwie nauczycielki, które mieszkały razem przy jej ulicy, kiedy ECatherine dorastała. Żadna z nich nie miała nigdy męża i były sobie bezgranicznie oddane. „Jak papuzki nierozłączki”, często określała je:ak jej matka, co wprawiało Katherine w zakłopotanie, dopiero kiedy iorośla, uświadomiła sobie, że istnieje wiele rodzajów związków międzyludzkich.

Nie była przyzwyczajona do wytrawnego wina, ale smakowało cudownie. Kiedy alkohol rozszedł się po żyłach, lekko zdrętwiały jej ręce i nogi, co było dość dziwnym, ale przyjemnym uczuciem. Jej wątpliwości zniknęły. Początki zawsze są trudne. Ale ona była doświadczoną nauczycielką, twardą, jeśli istniała taka potrzeba. Potrafi sobie poradzić z doktorem Stauntonem i studentkami. Przy odrobinie szczęścia uda się jej sprawić, by wszyscy zrozumieli, że historia sztuki nie kończy się na renesansie.

Nancy włączyła radio. Patti Page śpiewała właśnie piosenkę How Much Is ThatDoggie in the Window? Amanda i Nancy wtórowały jej, znakomicie naśladując psie szczekanie. Katherine upiła kolejny łyk wina i potem również zaczęła szczekać, chichocząc, bo dobrze jej robiła atmosfera wygłupów i beztroski.

Amanda zerknęła do garnka.

- Co my tu mamy?

- Duszoną wołowinę i groszek. - Nancy wyłożyła na półmisek duże porcje jednego i drugiego. -1 co myślisz o studentkach Wellesley, Katherine? - zapytała Amanda.

- Są bystre. - Odsunęła krzesło i usiadła, odczuwając zawroty głowy z powodu wina i śmiechu. Potem przyznała: - Zaczynam się zastanawiać, czego mogę je nauczyć.

- Serwetki z materiału czy papierowe? - zapytała Amanda Nancy.

- Papierowe - odparła Nancy, po czym zmieniła zdanie. - Nie, z materiału. To wyjątkowa okazja.

Amanda wyjęła z kredensu talerze i podała je Katherine.

- Jakie delikatne - powiedziała Katherine, rozkładając trzy talerze. Nancy przyniosła na stół jedzenie.

- Od Spode'a. Bajeczne, prawda? Zamówiłam całą kolekcję.

- Wychodzisz za męża? - zapytała Katherine. Usiłowała sobie przypomnieć, co Nancy mówiła o swoim narzeczonym. Czy nie wspomniała przypadkiem, że umarł? A może miała nowego faceta?

Spojrzała na Amandę, która uniosła brew, jakby chciała powiedzieć: Nie pytaj mnie.

- Dziewczyna musi być przygotowana - powiedziała wstydliwie Nancy. Usadowiła się u szczytu stołu. - Możemy zaczynać?

Amanda przyniosła na stół kryształową karafkę i przelała do niej wino. Ponownie napełniła swój kieliszek i jednym haustem wychyliła prawie cały.

Nancy rozłożyła sobie na kolanach serwetkę.

- Spodoba ci się tutaj - powiedziała.

- Już mi się podoba - odparła Katherine, prawie przekonana, że mówi prawdę. - Pięknie tu.

Amanda uniosła karafkę w jej stronę. Katherine skinęła głową. Naprawdę była szczęściarą: mieszkała w cudownym miejscu, miała dwie wspaniałe współlokatorki, no i oczywiście Paula.

Zarówno Amanda, jak i Nancy straciły ukochane osoby, z którymi zamierzały spędzić resztę życia. To było naprawdę straszne. Uśmiechnęła się wesoło i uniosła kieliszek, żeby wyrazić swoje uznanie.

- Jest idealnie - powiedziała.

Nancy odpowiedziała uśmiechem i lekko dygnęła dla żartu. - Nie daj się nabrać - powiedziała Amanda, ponownie napełniając swój kieliszek. - Pod tymi ich białymi rękawiczkami kryją się pazury.

- O kim ty mówisz? - zapytała, oszołomiona nagłą zmianą nastroju Amandy.

- O absolwentkach. Ich córeczkach. Wykładowcach. O nich wszystkich - powiedziała Amanda. Pogroziła Katherine ostrzegawczo palcem. - Uważaj. Zbyt duża niezależność ich przeraża.

- Przestań, Amanda - upomniała ją Nancy.

Amanda skwitowała to lekceważącym machnięciem ręki i zwróciła się z powrotem do Katherine.

- Mała wskazówka - powiedziała niewyraźnie. - Nie daj im poznać po sobie, że ci dopiekli.

- Nie dopiekli - odparła Katherine. Usłyszała w swoim głosie nutę niepewności.

Miała nadzieję, że Amanda i Nancy tego nie zauważyły.

- Grzeczna dziewczynka! - powiedziała Amanda. Nalała do swojego kieliszka resztkę wina z karafki. - Prawie mnie przekonałaś.

Katherine przyniosła na następne zajęcia własny zestaw slajdów. Nie zwracała sobie głowy sprawdzaniem obecności, dając sobie spokój z formalnościami, tylko od razu zabrała się do budowania swojego autorytetu.

Przyszła do sali dziesięć minut przed rozpoczęciem zajęć i sprawdziła czas.

Punktualnie o dziewiętej zgasła światła i przeszła z miejsca do wykładu.

- W zeszłym tygodniu miałam okazję się przekonać, że świetnie potraficie wkuć materiał na pamięć. Teraz chciałabym się dowiedzieć, czy równie dobrze idzie wam z myśleniem.

Wcisnęła przycisk START na przeglądarce i wyświetliła pierwszy slajd.

Dziewczęta zareagowały tak, jak się spodziewała: rozległy się piski obrzydzenia i nerwowy chichot. Bez wątplenia te dziewczyny po raz pierwszy widziały wiszącą na haku zakrwawioną półtuszę wołową.

- Co to jest? - zapytała Berty.

- Wy mi powiedzcie - odparła Katherine, z trudem skrywając rozbawienie.

- Mięso. - Tak oczywiste stwierdzenie Connie wywołało salwy śmiechu u jej koleżanek.

- Soutine, Zarżnięty wół- powiedziała Katherine. - Tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty.

I kolejna, łatwa do przewidzenia reakcja. Tym razem słowa padły z ust Susan.

- Ale tego nie ma w programie.

- Zgadza się, nie ma - przyznała Katherine. Czekala przez dłuższą, przyzwalającą chwilę na inne komentarze, ale na sali panowała grobowa cisza. Pomyślała, że Wellesley musi posiadać własny dekalog. Po pierwsze: nie będziesz miał cudzych bogów poza programem.

- I co, dobre? - Przechadzała się między ławkami, studiując twarze studentek, dopingując do tego, żeby się obudziły i zrobiły pożytek ze swoich mózgów. - Słucham, moje panie. Tu nie ma złych odpowiedzi, żadnego podręcznika narzucającego wam, co macie myśleć.

Zacienione twarze dziewcząt, na które padało światło przeglądarki, sprawiały wrażenie ponurych. I przerażonych. A może Katherine tylko się zdawało, że są przestraszone perspektywą samodzielnego myślenia, kiedy zabrakło gotowych formułek?

- Nie takie proste, co? - Prawie im współczuła. Były wśród nich najinteligentniejsze dziewczęta kraju. Niewielki ich odsetek znalazł się na tych studiach dzięki pomocy stypendialnej, ale reszta wiodła dostatnie, uprzywilejowane życie. Mimo to zachowywały się jak stadko nerwowych, rozgdakanych kurczaków, stroszących pióra z powodu pojawienia się intruza. Nie ma sprawy, chętnie zabawi się w lisa w kurniku. Bo niezależnie od tego jak smaczna jest karma i czyste klatki, większość kurczaków kończy swoje życie w piekarniku.

Zamierzała pokazać im nie tylko, jak umknąć lisowi, ale jak uniknąć swojego przeznaczenia.

Nie była zaskoczona, że Betty jako pierwsza podjęła wyzwanie.

- W porządku - powiedziała. - To nie jest dobry obraz. W zasadzie nawet nie nazwałabym tego sztuką. To jakaś groteska.

W górę natychmiast wystrzeliła ręka Connie.

- A czy jest jakaś zasada mówiąca o tym, że sztuka nie może być groteskowa?! - krzyknęła.

- Moim zdaniem jest w tym coś agresywnego - wtrąciła Giselle. - I nie zapominajmy, że agresja może być podniecająca.

Betty prychnęła. 3 - Uśmiech Mony Lizy

33

- Dla ciebie wszystko jest podniecające.

- Wszystko jest podniecające - zgodziła się spokojnie Giselle.

Jej ripostą powitał wybuch śmiechu i burza oklasków. Giselle wstała i nisko się skłoniła, grając swoją rolę do końca.

- Ale czy nie ma jakichś kanonów? - zapytała Susan ze szczerym zdumieniem.

- Oczywiście, że są - oznajmiła Betty. - Inaczej tandetne wyklejanki z aksamitu można by porównywać do Rembrandta.

- Mój wujek Ferdie ma dwa takie obrazki. Uwielbia tych swoich klaunów - powiedziała Connie.

Kolejna salwa śmiechu. Katherine poczekała, aż dziewczęta się uspokoją, po czym zwróciła się do Betty:

- Czy to jest sztuka? Betty pokręciła głową.

- Jego klauni? Nie, nie wydaje mi się, żebyśmy miały ich zobaczyć w jakimkolwiek muzeum.

Katherine miała nadzieję, że udaje się poszerzyć wąskie spojrzenie na świat swoich studentek, ale nie przyszłoby jej do głowy, że jeden rzut oka na obraz Chaima Soutine'a pobudzi je do myślenia i zaczną dyskutować niczym krytycy sztuki.

- A więc wyznacznikiem sztuki jest to, czy jakąś pracę uzna się za wartą wystawienia w muzeum?

- Tak, to jeden z wyznaczników - powiedziała niechętnie Betty. Jako doświadczona golfistka umiała wyczuć, że zbliża się do piaszczystej pułapki, kiedy już za późno na ocalenie strzału.

- Dałaś się złapać! - zawołała śpiewnie Giselle. Uśmiechnęła się szeroko do Connie. - Uważaj. Gdzie ten obraz wisi, panno Watson?

- W Museum of Modern Art w Nowym Jorku - powiedziała Katherine. Betty spojrzała z wściekłością na Giselle, która wykorzystując swoje pięć minut do samego końca, jeszcze raz przesadnie nisko się skłoniła.

Zdezorientowana Joan zmarszczyła czoło. Pomachała ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę Katherine, i powiedziała:

- Więc jeśli wszystko można uznać za sztukę...

- Z czym bym polemizowała - wtrąciła Betty. Susan pokiwała głową.

- Ja też.

- Jak w takim razie brzmi definicja dobrej sztuki? - zapytała Joan.

Katherine zaczęła już postrzegać je jako indywidualności, z ich mocnymi stronami, słabościami i dziwactwami: Joan, tak ciekawa i niecierpliwa w przyswajaniu nowych informacji; Betty otacza aura pewności

34

siebie, lekko zabarwiona gniewem; Giselle, wyrafinowana i nieco egzotyczna;

Connie, wiolonczelistka, która uwielbia błaznować; Susan, nieśmiała i niepewna swojego miejsca w grupie. ~ Może nie ma żadnej - powiedziała Connie.

Betty patrzyła wyzywająco na Katherine.

- To wszystko stek bzdur.

- Czuję się urażona, panno Watson - zażartowała Giselle.

- Przykro mi - powiedziała Betty, rzucając się na przynętę niczym wygłodniała ryba na tłustego robaka - ale tego nie można uznać za sztukę. Są pewne standardy, jeśli chodzi o technikę, kompozycję, kolor, nawet temat. Więc jeśli sugeruje pani, że ten zgniły kawał mięsa jest sztuką, a na dodatek dobrą sztuką, czego w takim razie będziemy się uczyć?

Katherine skryła uśmiech. Jej ulubiony profesor z UCLA mawiał, że niewiele rzeczy bardziej cieszy nauczyciela niż rozszłoszczony uczeń. „Jeśli się zezłoszczą, wtedy wiesz, że uważają. Chcesz, żeby się uczyli, ale przede wszystkim chcesz, żeby słuchali”.

- Dziękuję, Betty. Właśnie streściłaś nasz program zajęć - oznajmiła Katherine.

- Co to jest sztuka? Co sprawia, że jest dobra lub zła, i kto o tym decyduje?

Teraz każda z was, która nie jest tym zainteresowana, może bez żadnych konsekwencji zrezygnować z zajęć.

Dziewczęta spojrzały na nią, potem na siebie nawzajem. Katherine jeszcze nie zapomniała, jak to było, kiedy sama studiowała, i domyślała się, nad czym się zastanawiają. Czy nowa nauczycielka plus nowy program zajęć gwarantują bez wysiłku najwyższe oceny? A może zwyczajnie pozbawiała ich zapewnionej przez szkołę programowej wiedzy?

Czekała. Minęło pięć minut. Jakies osiem czy dziewięć dziewczyn wstało, część pojedynczo, inne w parach, i opuściło salę. Betty Warren została na swoim miejscu. Katherine dała jej kolejne pół minuty na zebranie rzeczy. Ale Betty się nie ruszyła. Katherine była zaskoczona. No i dobrze, pomyślała. Mając córkę pani Warren na swoich zajęciach, nie musiała się zastanawiać, jak i kiedy doktor Staunton i rektor Carr dowiedzą się, że wprowadziła zmiany w programie nauczania.

- Dobrze. - Uniosła wzrok i zauważyła, że wiele dziewcząt nachyliło się do przodu w swoich krzesłach, jakby niecierpliwie czekały na rozwój wydarzeń. Cóż, nie zamierzała sprawić im zawodu. - No to jedziemy dalej. - Wcisnęła odpowiedni przycisk i obraz zakrwawionej padliny Soutine'a został zastąpiony prymitywnym wizerunkiem krowy na polu, rozświetlonej przez kolorowy zachód słońca.

- Dwadzieścia pięć lat temu ktoś uznał to dzieło za kapitalne ~- powiedziała.

35

- Rozumiem dlaczego - odezwała się Connie.

Katherine zachowała poważną minę, nie dając nic po sobie poznać.

- Kto? - zapytała Betty.

- Moja matka - odparła Katherine. - Namalowałam to na jej urodziny. Dziewczęta zachichotały, któraś cisnęła w Connie papierową kulka. Connie wzruszyła ramionami. Padła ofiarą dowcipu, ale to było do przeżycia.

Pstryk. Kolejny obraz. Tym razem czarno-biała fotografia. Był to piękny portret majestatycznej kobiety, która najlepsze lata miała już za sobą. Ale jej duże oczy i pełne, uśmiechnięte usta dowodziły, że kiedyś była jrawdziwą pięknoscią.

- To moja matka - powiedziała Katherine.

Po jej oświadczeniu natychmiast rozległ się choralny pomruk. Kamenie długo zastanawiała się nad tym, czy pokazać swoim studentkom zdjęte matki. Dwa razy wyciągała je z przeglądarki, po czym w ostatniej chwili na powrót je włożyła.

Wewnętrzny głos domagał się, żeby uwzględniła to zdjęcie. Dziękuję, mamó, pomyślała, patrząc na obraz na ekranie. Wiedziałaś, że będę cię dziś potrzebować.

Sala już się uciszyła. Potem Susan nieśmiało uniosła rękę.

- To zwykła fotka - powiedziała.

- A jeśli powiem, że zrobił ją Ansel Adams, sprawi to jakąś różnicę? - napytała Katherine.

- Sztuka nie jest sztuką, dopóki ktoś nie powie, że tak właśnie jest - itwierdziła Betty.

Katherine kiwnęła głową.

- To sztuka! - oświadczyła. Betty przewróciła oczami.

- Miałam na myśli kompetentne osoby - powiedziała, dając jasno do rozumienia, że nie zalicza do nich Katherine.

- A co to za osoby?

- Betty Warren! - Giselle wskazała na swoją koleżankę. - Czyż to nie:udowne, że wśród nas jest taki autorytet?

- Pieprz się - mruknęła pod nosem Betty.

Giselle, gotowa podjąć walkę, klepnęła Betty w ramię.

- Słucham?

Katherine miała nadzieję na ożywioną dyskusję, nie otwartą wojnę.

- Myście, moje panie - powiedziała. Zdjęcie jej matki zniknęło, zastąpił je Soutine. To niezwykle zestawienie wyrwało dziewczęta z ich samo-adowolenia.

Zniżyła głos, stosując nauczycielską sztuczkę, dzięki której przyciąga-ięła ich uwagę i zmusiła do uważniejszego słuchania.

36

- Soutine spojrział na ten prosty temat i przekształcił w swoją wizję sztuki.

Spójrzcie jeszcze raz, nie poprzestawajcie na pozorach. Otwórzcie się na inne poglądy.

Większość z nich zawzięcie robiła notatki. Zapisujcie swoje myśli, nie moje, miała ochotę im powiedzieć. Może poświęci temu wykład w przyszłym tygodniu.

- A teraz wracamy do rozdziału trzeciego - powiedziała głośno. - Czy któraś z was go czytała?

Wszystkie ręce na sali wystrzeliły w górę.

- O Chryste! - mruknęła. Były niepoprawne.

Rozdział 4 T edynym powodem, dla którego Joan się spóźniła, było to, że razem J z Tommym spali zeszłej nocy w domu jego bractwa. Najlepsze było to, że nawet się nie popieścili, kompletnie nic. Pomagała mu przy referacie z angielskiego, poszli z jego kumplami na piwo, a po powrocie położyła się na kanapie, żeby zdrzemnąć się chwilę.

Następne, co pamiętała, było to, że Tommy nią potrząsał, by się obudziła, i kazał się jej pospieszyć, bo dochodziło wpół do dziesiątej.

W weekendy godzina policyjna zaczynała się o dziesiątej, a jazda z Cambridge do Wellesley zabierała czterdzieści minut. Była przewodniczącą senierek. Powinna świecić przykładem, na litość boską. Kiedy Tommy pędził autostradą numer 9, Joan siedziała wciśnięta w swoje siedzenie z zamkniętymi oczami, modląc się, żeby wróciła na czas - i w jednym kawałku.

Pani Morgan, opiekunka domu Joan, stała przy frontowych drzwiach z kluczami w ręku, kiedy Tommy zatrzymał się z piskiem opon. Joan nie czekała, aż Tommy obejdzie samochód i otworzy jej drzwi, tylko wyskoczyła na zewnątrz, pokonała sprintem chodnik i prawie padła na ziemię przed panią Morgan.

- Wiem. Spóźniłam się - powiedziała zadyszana.

Przy odrobinie szczęścia pani Morgan ten jeden raz przymknie oko ze względu na jej niemal nieskazitelną przeszłość. Pani Morgan zmarszczyła brwi i Joan zamarła.

- Błagam o przebaczenie - paplała, dochodząc do wniosku, że uratuje ją kombinacja poczucia humoru i skruchy.

Obok niej stanął na schodach Tommy.

37

- Czy sprawia pani jakieś kłopoty? - zapytał panią Morgan. Tommy był czarującym, bezwstydnym flirciarzem. Jego figlarny uśmiech mógł stopić nawet najzimniejsze serce i Joan po prostu za nim szalała.

Ale pani Morgan była zatwardziałą służbistką. Joan zakryła Tommy'emu usta ręką, żeby go uciszyć, ale nic nie mogło go powstrzymać.

- Skoro te dziewczyny nie potrafią zdążyć na czas z powrotem, sugeruję, by zamknąć przed nimi drzwi - rzekł.

Pani Morgan mrugnęła do Tommy'ego.

- Zamykam drzwi - powiedziała. Ale najpierw usunęła się na bok, robiąc przejście dla Joan. Tommy nie mógł się powstrzymać. Musiał mieć ostatnie słowo.

- Niech pani ma ją na oku. Trudno ją okiełznać.

Betty ciągle obiecywała matce, że rozplanuje, kto ma gdzie usiąść na weselnym przyjęciu, ale zrobił się początek października, a ona ciągle nie przykładła zbyt wielkiej wagi do tej sprawy. To było tak niesamowicie nudne! Jej matka powiedziała, że opracowanie rozmieszczenia gości jest dobrym treningiem przed małżeńskim życiem, bo kluczem do wszystkiego było umieszczenie odpowiednich ludzi razem. „Przez wzgląd na Spencera” - powiedziała. Jeśli stawiała to w ten sposób, jaki wybór miała Betty?

Przebrała się w pidżamę i szlafrok, załadowała gramofon ulubionymi płytami i rozłożyła swoje zapiski na podłodze wspólnego saloniku. Wkrótce pojawiła się Connie ze swoją wiolonczelą; może chciała dotrzymać Betty towarzystwa, a może chciała ją rozdrażnić, a może jedno i drugie.

Doris Day śpiewała właśnie Secret Love - Betty widziała ten musical dwa razy na Broadwayu - kiedy Connie zacytowała reklamę z „The Wellesley News”:

- Zaplanowałam zajęcia, spotkałam wymarzonego faceta, teraz czas na prawdziwego papierosa. Czas na camela! - Z dramatycznym rozmachem przeciągnęła smyczkiem po strunach wiolonczeli: - Mam camela. Ustawiłam sobie zajęcia. Gdzie, u diabła, jest mój wymarzony facet?

- A co? Kuzyn Betty nie jest dość dobry? - zapytała Giselle, która wkroczyła do pokoju w samą porę, by usłyszeć końcówkę jej pytania.

- Jeszcze go nie poznałam.

Betty uniosła wzrok znad swoich planów i zmarszczyła brwi.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele. Będzie ci towarzyszył tylko z uprzejmości.

38

Connie skrzywiła się. Też mi przyjaciółka! Znowu przejechała smyczkiem po strunach, w ramach hałaśliwej odpowiedzi na złośliwą uwagę Betty.

- Nie to miałam na myśli. - Betty wycofała się. Słowa same wyskoczyły z jej ust.

Westchnęła głośno. - Żyję w takim napięciu z powodu tego wesela. Zdajecie sobie sprawę, że drugi listopada już za trzy tygodnie?

- Och, skarbie! - Connie spozjrzała na nią ze współczuciem. Wszystko już jej wybaczyła.

- To nie wychodź za mąż - powiedziała Giselle. Opadła na krzesło i zapaliła papierosa.

- Nie musisz przychodzić. - Betty spiorunowała ją wzrokiem. - Właśnie planuję rozmieszczenie gości przy stołach, więc po prostu mogę wymazać twoje nazwisko.

Giselle, której ciekawość została rozbudzona, podniosła się i zerknęła na plany nad ramieniem Betty.

- Niech się przyjrzę.

- Chcesz zobaczyć, gdzie będzie siedział Bili Dunbar - powiedziała Betty, zakrywając swoje papiery.

Connie skrzywiła się.

- Wcale nie. To już skończone, prawda? - zapytała, zwracając się do Giselle.

Giselle zaciągnęła się, zacisnęła usta, po czym wypuściła idealne kółeczko z dymu.

Betty i Giselle były współlokatorkami na pierwszym roku i to był zapewne jedyny powód tego, że się zaprzyjaźniły. Betty kilka razy zatrzymała się nawet u Giselle w Nowym Jorku, ale nie czuła się tam dobrze. Giselle, której rodzice byli rozwiedzeni, mieszkała z matką przy Park Avenue w oszalałym dwupiętrowym apartamencie. Pani Levy zawsze traktowała Betty bardzo miło, ale ona i jej znajomi byli tacy... inni. Mówili dużo i głośno o polityce oraz o teatrze. Giselle wspominała, że jej ojciec, który był kimś tam na Wall Street, czasami inwestował w sztuki wystawiane na Broadwayu, i dlatego właśnie w holu pani Levy wisiała karykatura Ethel Merman.

Betty była przerażona, kiedy zeszłej wiosny Giselle zaczęła umawiać się z Billem Dunbarem. Wszyscy wiedzieli, że spotykał się z nią tylko dla seksu. Ale Giselle nie chciała słuchać Betty, która usiłowała ją od tego odwieść. Czy między nimi wszystko już było skończone?

- Jasne - powiedziała Betty. Jasne, że nie.

Giselle wzruszyła ramionami. Nie obchodziło jej, co myśli ta konserwa-tystka Betty. Ciągle była dziewicą i wkrótce miała poślubić największego

39

diotę, jaki studiował prawo na Harvardzie. Wszyscy oprócz Betty wie-Izieli, że Spencer Jones dostał się na Harvard tylko dlatego, że jego ojciec, dziadek i pradziadek byli absolwentami tej uczelni. Giselle upozowała się przed lustrem.

- Czy wyglądam jak ona? - zapytała.

- Kto? - zainteresowała się Connie.

- Katherine Watson.

Na usta Betty wypłynął złośliwy uśmiezek.

- Masz na myśli Katherine „Gównno to też sztuka” Watson?

- Uważam, że jest świetna - powiedziała Giselle. Była zafascynowana iową wykładowczynią historii sztuki; tym jak mówiła, jak się ubierała, ym, że miała trzydzieści lat i nadal była samotna.

Betty również była zaintrygowana Katherine, tyle że na tej samej zasadzie co ludzie, którzy gapią się na dziwolągą w wesołym miasteczku czy wypadek drogowy. - Żaden facet jej nie chciał - uznała.

- Nie jest jeszcze martwa - odparowała Giselle.

- Ma co najmniej trzydzieści lat - powiedziała Betty, która nie wyobrażała sobie, jak można przekroczyć dwudziesty piąty rok życia i nie być przynajmniej zaręczoną.

- Pewnie nigdy nie chciała mieć dzieci - dumiała Connie, która była w głębi duszy przerażona perspektywą ciąży i porodu.

- Dla twojej informacji, Katherine Watson przyjęła tę pracę, bo musiała uciekać z Kalifornii - oznajmiła Giselle.

- To śmieszne! - wykrzyknęła Betty, która na drugim roku miała zajęcia z psychologii i czytała Junga. Doszła do wniosku, że Giselle wymyśla najbardziej prawdopodobne historie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Miała gorący romans z hollywoodzkim gwiazdorem. Jej przyjazd tu to ucieczka - powiedziała Giselle.

- Proszę cię. - Betty przewróciła oczami.

Z Giselle była taka sprawa, że jej szalone historie, uważane przez wszystkich za zmyśnione, od czasu do czasu okazywały się prawdziwe. Ale ponieważ Giselle była tak przekonującą kłamczuchą, dziewczęta nigdy nie mogły mieć pewności, dopóki nie wpadł im w ręce „Life”, „Look” czy któryś z magazynów telewizyjnych i pogłoska okazywała się faktem.

- Kto to był? - zapytała Connie. Giselle uśmiechnęła się.

- Nie bądź taka - błagała Connie. - Powiedz.

- William Holden - oświadczyła Giselle.

- Super! - wykrzyknęła Connie.

40

- Nie wierzę w ani jedno słowo - powiedziała Betty z szyderczym uśmiechem.

- Kobiety takie jak Katherine nie wychodzą za mąż z wyboru - powiedziała Giselle. - Żadna kobieta nie wybiera sobie życia bez męża, dzieci, domu - odparła Betty - no chyba że sypia ze swoim profesorem włoskiego.

Zaraz po wypowiedzeniu tych słów wiedziała, że posunęła się za daleko. Connie zgromiła ją wzrokiem: Jak mogłaś?! Ale Betty nie zamierzała przeproszać, bo ciągle powtarzała Giselle, że robi wielki błąd, ale ona nie chciała słuchać.

- Zawsze krytykujesz wszystkie dziewczyny - powiedziała Connie.

- Wcale nie - odparła Betty.

Giselle dobrze wiedziała, jak odegrać się na swojej byłej współlokatorce.

- Właśnie że tak - stwierdziła. - Jesteś nieodrodną córką swojej matki.

Klasyczny kompleks Elektry. Ale cię nie winię. No bo kto nie chciałby zamordować twojej matki?

Betty już miała przypuścić nowy atak, kiedy do pokoju wpadła Joan.

- Jak tam harvardzki kochaś? - zapytała Giselle, żeby odwrócić uwagę od swojej osoby.

- Boski. - Joan zrzuciła buty i rozciągnęła się na podłodze obok Betty.

- Zrobiłaś za niego pracę domową? - zapytała Giselle. Joan uśmiechnęła się.

- Jasne.

- Zrobisz za mnie? - zapytała Giselle. -Nie. |* Masz jeszcze papierosy? - spytała Connie Giselle.

Giselle wskazała swoją torebkę. Connie zamiast paczki papierosów wyciągnęła plastikowe opakowanie w kształcie spodeczka. Oczy jej się rozszerzyły.

- To nie jest to, o czym myślę, prawda?

Giselle spokojnie przytaknęła kiwnięciem głowy, otworzyła opakowanie i uniosła swój krążek dopochwowy.

- Skąd masz? - zapytała Joan.

- Od szkolnej pielęgniarki - odpowiedziała Giselle.

- To sprzeczne z prawem - przypomniała jej Betty.

- Dorośnij - odparła Giselle z lekceważącym machnięciem ręki. - To najlepszy przyjaciel dziewczyny.

- Szczególnego rodzaju dziewczyny - powiedziała wyniośle Betty. Giselle roześmiała się.

41

- Poznajcie ostatnią pannę młodą, która jest dziewicą.

- Spencer jest dżentelmenem.

- Nawet dżentelmeni mają fiuty. - Giselle miała nadzieję, że zaszokuje Betty swoim niewyszukanym słownictwem.

Connie przyglądała się krążkowi przez opakowanie.

- Może postaram się o taki.

- Co? Fiut? - zazartowała Giselle.

- Nie bądź głupia, Connie - obruszyła się Betty.

Dotknięta sugestią Betty, że kwestia antykoncepcji jej nie dotyczy i jest głupia sądząc, że kiedyś to się zmieni, Connie podniosła się i schowała wiolonczelę do futerału.

- Któregoś dnia być może ktoś będzie zainteresowany - powiedziała, walcząc ze łzami. - Szokujące, wiem. Ale tak na wszelki wypadek, wolę być przygotowana.

Wyszła ciężkim krokiem z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

- Nie mogłaś sobie darować? - Joan zapytała Betty.

Betty nie miała na myśli nic złego. Była to szczerza rada, choć niefortunnie sformułowana. Ona i Connie przyjaźniły się od dziewiątej klasy szkoły panny Porter i Betty wiedziała, że Connie nie chowa długo urazy. Było jej odrobinę przykro, że ją zdenerwowała, ale nie zamierzała się do tego przyznać przed Giselle i pozostałymi.

- Uczono mnie, że najlepiej mówić, co się myśli - broniła się.

- Okay. - i Giselle wzruszyła ramionami. - Jesteś suką.

Betty postanowiła ją zignorować. Złapała ołówek i wróciła swoich do planów.

Pomyślała, że wyjdzie za mąż choćby się waliło i paliło. Bo niby po co przez cztery lata studiuje się w Wellesley?

W Wellesley Katherine odkryła na nowo swoją starą miłość do jazdy na rowerze; rower był najpopularniejszym środkiem transportu w kampusie. Za radą Nancy kupiła za pięć dolarów używany rower i zaczęła pedałować na zajęcia i po zakupy, a w weekendy, kiedy była ładna pogoda, jeździła na wycieczki rowerowe po okolicy, sama lub z którąś ze swoich współlokatorek.

Jednego popołudnia była na samotnej przejażdżce drogą ciągnącą się brzegiem jeziora Waban. Sapała ciężko, pnąc się pod górę, kiedy za jej plecami rozległo się tak głośne trąbienie klaksonu, że gwałtownie skręciła w bok, ledwie unikając upadku.

Kilkaset metrów wcześniej widziała znak, który informował wielkimi, trudnymi do przeoczenia literami, że droga przeznaczona jest tylko dla

42

pieszych i rowerzystów. Żadnych samochodów. A teraz przemknęło obok niej czerwone auto, alfa romeo spyder. Patrzyła na wymijający ją samochód, zastanawiając się, co za idiota z rozmysłem łamie przepisy. Chwilę później zdała sobie sprawę, że zna kierowcę, w pewnym sensie. To był Bili Dunbar, wykładowca włoskiego, którego parę razy widziała z oddali w kampusie. Zauważyła, że Dunbar przygląda się jej we wstecznym lusterku. Pomachał jej ręką, a potem samochód zniknął w oddali.

- Obudź się, Joanie. Obudź się.

Głos Betty brzęczał jej w uchu jak wściekła osa. A może tylko śniła o tym, że Betty ją budzi, kiedy ona marzy jedynie o tym, żeby spać.

- W porządku, nie musisz wstawać - powiedziała Betty, co nie miało żadnego sensu, bo po co w takim razie cały czas gadała jej nad uchem, choć ona spała? - Nie musisz się dowiedzieć co mam do powiedzenia o tym, jak Tommy i Spencer spędzili popołudnie w Nowym Jorku, oglądając u Tiffany'ego pierścionki zaręczynowe.

Joan otworzyła oczy. Nie śniła. Betty przysiadła na jej łóżku, ciągle w płaszczu i szalu.

Tommy. Tiffany. Pierścionki zaręczynowe. Teraz była już całkiem rozbudzona.

Usiadła i zapytała:

- Jesteś pewna? - Z piskiem rzuciła się swojej współlokatorce na szyję, nadal nie do końca wierząc w jej słowa.

- Spełnia się wszystko, czego zawsze pragnęliśmy. - Betty podskakiwała na łóżku jak małe dziecko. - Będziemy najlepszymi przyjaciółkami, nasi mężowie będą najlepszymi przyjaciółmi, kupimy sobie domy obok siebie i będziemy mieć dzieci, które też będą najlepszymi przyjaciółmi. Będziesz panią Donegal.

Marzenie Joan miało się wkrótce spełnić. Podobało się jej brzmienie tych słów:

- Pani Donegal. Kiedy?

- Jutro będę mieć najnowsze wiadomości - powiedziała Betty. Delikatnie pchnęła Joan z powrotem na poduszki. - Śpij dalej. Ja muszę coś dokończyć. - Przeszła do swojego biurka i włożyła kartkę papieru do maszyny do pisania.

- Teraz? - zdziwiła się Joan, opatulając się kołdrą. - Co piszesz?

- Ciii... - powiedziała Betty. - Artykuł wstępny na piątek. Już prawie skończyłam.

43

Dzień Obręczy. Słowa przywodzące na myśl świat spódnic do ziemi, halek i luźnych koków, fotografii w kolorze sepia. Jedna z najbardziej osobliwych i najukochańszych tradycji college'u. Dzień Obręczy na samym początku wchodził w skład obchodów pierwszomajowego Święta Wiosny, kiedy studentki ostatniego roku, ubrane pierwszy raz w swoje birety i togi, toczyły po błoniach drewniane obręcze. Później konkurs ten przesunięto na początek roku akademickiego, zmieniono lokalizację na Aleję Tupelo, a obręcze nie były już drewniane, tylko metalowe. Ale poza tym, jak Nancy wyjaśniała Katherine, niewiele się zmieniło.

Pomimo że na lazurowym niebie świeciło cudowne słońce, tego późnopaździernikowego ranka było wyjątkowo zimno. Katherine stała z Nancy i wuefistką Violet Albini, obserwując, jak dziewczęta gnają swoimi obręczami, a wokół nich wirują na ziemi opadłe liście.

- Ta tradycja sięga końca lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku - powiedziała do Katherine Nancy. - Dziewczyna, która wygra, pierwsza wyjdzie za mąż.

Katherine miała na sobie gruby wełniany sweter. W dłoniach trzymała kubek z kakao.

- Czy dziewczyny traktują to dosłownie?

- Tylko ta, która wygra - odparła Violet. - Och, spójrzcie! To Phyllis Naylor!

Kiedy Phyllis przecięła linię mety, rozległy się głośnie wivaty i oklaski.

- Zuch dziewczyna! Wzruszam się za każdym razem. - Nancy dotknęła chusteczką oczu.

Przez tłum zmierzał do nich Bili Dunbar. Jakiś tydzień po tym jak zepchnął Katherine z drogi, wpadli na siebie w kampusie. Przywitał ją jak starą przyjaciółkę i obiecał, że będą w kontakcie. Nie zadzwonił, a Katherine nie siedziała przy telefonie, czekając, aż się odezwie - jej myśli i serce ciągle były zarezerwowane dla Paula.

Tego ranka Dunbar nie zawracał sobie głowy uprzejmościami. Trzymał egzemplarz uczelnianej gazety, „The Daily Wellesley” i w pierwszych słowach zapytał:

- Widziałyście to?

- Co to jest? - zapytała Katherine, skoncentrowana na Phyllis, którą przyjaciółki wzięły na ramiona i niosły w stronę jeziora Waban.

- Na pierwszej stronie jest atak wymierzony w Amandę Armstrong, dzieło Betty Warren. Patrz. - Wepchnął gazetę w ręce Katherine. - Czytaj.

Katherine przeleciała wzrokiem pierwsze słowa artykułu. Oszołomiona jego treścią, przeczytała na głos:

44

- „Zapewniając antykoncepcję na żądanie, nasza szkolna pielęgniarka jest propagatorką rozwiązań”. Wspaniale!

Próbowała podsunąć gazetę Nancy, ale ona była bardziej zainteresowana tym, co się dzieje z Phyllis Naylor po jej zwycięstwie niż złośliwym oskarżeniem ich współlokatorki przez Betty.

Naprawdę ją wyrzuca? - zastanawiała się Nancy. Skrzywiła się współczująco, kiedy wiwatujące koleżanki wrzuciły Phyllis do zimnej wody.

- Już idę, Phyllis! - krzyknęła Violet, pędząc do jeziora.

Nancy oderwała wzrok od tego dramatycznego obrazka i zwróciła się do Katherine i Billa.

- Nie przejmowałabym się tym. Betty jest tylko młodą kobietą sprawdzającą, na co ją stać.

- Lizzie Borden - powiedział ponuro Bili. - Podobnie jak jej matka nie była przewodniczącą Stowarzyszenia Absolwentek.

- Niech ktoś da tej biednej dziewczynie ręcznik! - krzyknęła Nancy.

- Czy Amanda będzie miała kłopoty? - zapytała Katherine.

- Amanda musi być bardziej dyskretna - powiedziała Nancy.

- Sztuka przetrwania w Wellesley polega na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi. - Bili mrugnął do Katherine. - Ciao, Mona Liza.

Nancy zmarszczyła brwi.

- Wielki bohater. Myśli, że jest kimś wyjątkowym.

- Może mieć rację - stwierdziła Katherine. - To znaczy co do Wellesley.

- Sypia ze swoimi studentkami - powiedziała Nancy. Naprawdę? A nawet jeśli, czy to twoja sprawa? Co z biedną Amanda?

Katherine zadrżała, ale chłód, jaki przeszył ją do szpiku kości, nie miał nic wspólnego z temperaturą powietrza.

Do wesela Betty zostały dwa tygodnie. Matka dzwoniła do niej po dziesięć razy dziennie. Betty była tak zdenerwowana, że zupełnie straciła apetyt. Suknia ślubna wisiała na niej jak worek na ziemniaki, bo od czasu ostatniej wizyty u krawcowej Betty straciła prawie trzy kilogramy.

- Czy to nie powinno być przyjemnością? - zapytała Spencera, który powiedział, że według niego przyjemnie będzie dopiero później, kiedy się upiją i będą uprawiać seks. I że jeśli nie chce zawracać sobie głowy całą tą szopką z weselem, mogą pojechać do Maryland, gdzie ślubu udzieli im sędzia pokoju.

Betty wiedziała, że Spencer nie mówi tego poważnie. Jego rodzina, jak też liczni przyjaciele i znajomi nie przeboleliby, gdyby nie mogli uczestniczyć

w zawarciu przez Berty i Spencera związku małżeńskiego; z jej strony było zupełnie tak samo. Spencer miał tyle na głowie. Nie powinna niepokoić go swoimi głupimi rozważaniami. Na pewno będzie cudownie.

Pani Jones. Uwielbiała brzmienie tych słów!

Rano umówiła się na kolejną wizytę u krawcowej. Ale najpierw musiała podrzucić parę rzeczy rodzicom, którzy mieli spotkanie z ludźmi od cateringu. Załatwiła sobie towarzystwo Joan w celu moralnego wsparcia i oczywiście przyszły spóźnione. Kiedy wpadła do biura firmy cateringowej, pani Warren zdążyła już owinąć sobie wokół palca wszystkich pracowników, którzy byli gotowi spełnić każdą jej zachciankę.

Pani Warren chwyciła Berty za rękę, od razu przechodząc do rzeczy.

- Miałaś już przymiarkę?

Betty zręcznie wyswobodziła się z uścisku matki.

- Właśnie tam jedziemy. Tu masz plan rozmieszczenia gości i listę друзów Spencera. - W połowie drogi powrotnej do drzwi wyrzuciła z siebie wcześniej przygotowaną kwestię: - Och, prawie bym zapomniała. Zapytałam Spencera, czy przeczyta wiersz, ale powiedział, że nie chce. Więc powiedziałam, że w porządku.

Betty przez całe życie studiowała reakcje swojej matki tak wnikliwie, że mogła czytać jej w myślach. W porządku? Absolutnie nie w porządku.

Jej matka miała właśnie spróbować popisowej przystawki wybranej przez nich firmy cateringowej, jajka na ostro w sosie curry. Natychmiast odłożyła widelec na stół i uśmiechnęła się do Joan.

- Wybacz nam na sekundkę - powiedziała.

Z dłonią zaciśniętą na ramieniu Betty niczym stalowe szczypce, odciągnęła córkę na bok.

- Dobra żona pozwala mężowi sądzić, że wszystko jest jego pomysłem, nawet jeśli tak nie jest - streściła swoje podstawowe poglądy na małżeństwo.

- Ale to dla mnie bez znaczenia, czy przeczyta ten wiersz, czy nie - odparła Betty. Prawda była taka, że nie mogła sobie przypomnieć, czy coś jeszcze ją obchodziło w związku z tym ślubem. Wiedziała tylko, że jej matka jest bardzo zaangażowana, roztrząsa każdy najdrobniejszy detal; głównym zmartwieniem Spencera było to, żeby nie skończył się im szampan, a ona marzyła tylko o tym, by przespać spokojnie choć jedną noc przed dniem ślubu, bo inaczej przypłaci to wszystko załamaniem nerwowym. I, no tak, wiedziała też, że jej ojciec zapłaci każdą sumę, by spełnić wszystkie życzenia swojej żony, żeby później nie musiał wysłuchiwać w domu jej narzekania. Poza tym chciał urządzić Betty, swojej ukochanej jedyńczej, takie wesele, które będzie pamiętała do końca życia.

- Z perspektywy czasu nabierze to dla ciebie znaczenia - powiedziała jej matka.

- Masz znaleźć jakiś sposób, żeby go przekonać. Zrozumiałaś?

Betty skinęła głową. Choć ten głupi wiersz - pomysł jej matki, oczywiście - nie znaczył dla niej absolutnie nic, miała na głowie jeszcze jeden problem.

Ciągle nie zwalnając swojego uścisku, pani Warren przyprowadziła córkę z powrotem do stołu.

- Musisz spróbować tego łososiowego musu.

Na jej znak człowiek od cateringu podał obu dziewczynom po krakersie posmarowanym musem łososiowym. Był kwadrans po trzeciej, a one nie jadły jeszcze śniadania ani lunchu, więc łosoś smakował wybornie.

Ale pani Warren miała w programie znacznie więcej niż tylko łososia. Wpatrywała się uważnie w ich twarze, jakby studiowała przez lupę jakieś okazy.

- Chodźcie do światła - zarządziła. - Obie. Oczyszczyście sobie pory?

- Tak - odpowiedziały chórem.

- To teraz peeling - rozkazała.

Tego było już za wiele. Betty czuła, że dłużej nie wytrzyma. Przypomniała sobie jeden z powodów, dla których tak paliła się do zamążpójścia - żeby nie musieć więcej słuchać rozkazów matki.

- W porządku, musimy lecieć. - Chwyciła Joan za rękę i rzuciła się do drzwi.

W drodze do krawcowej śmiały się tak bardzo, że Betty zignorowała znak stopu i musiała zjechać na pobocze, zatrzymana przez policjanta. Jego poważne pouczenie sprawiło, że kiedy tylko ruszyły dalej, na nowo zaczęły rechotać, aż po ich policzkach pociekły łzy i Betty nie była pewna, czy tak właściwie śmieje się, czy płacze. Ale to musiał być śmiech. Bo niby jakie by miała powody do płaczu?

Gdyby gabinet Katherine znajdował się jeszcze odrobinę dalej od centrum kampusu, listy do niej mogłyby przychodzić na adres sąsiedniego miasta. Szukając dobrych stron tego położenia, Katherine przekonywała siebie, że dzięki dużej odległości od centrum będzie miała okazję do długich, korzystnych dla zdrowia spacerów i rowerowych przejażdżek po kampusie.

Kolejnym plusem było to, że do jej gabinetu przylegał opuszczony schowek, który szybko sobie przywłaszczyła. Jedna ze ścian stała się tablicą informacyjną, ze stale zmieniającym się kolażem fotografii, artykułów prasowych, rysunków, cytatów, karykatur, pocztówek i kartek z życzeniami;

47

kiedy Katherine była przybita, podnosiło ją to na duchu, a kiedy wszystko było w porządku, miała z tym kupę zabawy.

Niewiele studentek ją tam odwiedzało. Większość wołała zagadnąć ją przed lub po zajęciach albo kiedy wpadły na nią gdzieś w kampusie. Joan należała do nielicznych będących w stanie zdobyć się na tę wyprawę, chociaż dodatkowo trzeba było się wspiąć po pięciu kondygnacjach schodów.

- Nigdy nie byłam w tej części kampusu - powiedziała odrobinę zadyszana. - Gdzie my jesteśmy? - Na ziemi niczyjej, że tak powiem - zazartowała Katherine.

Roześmiały się obie, co przełamało między nimi lody. Katherine domyślała się, dlaczego Joan wołała porozmawiać z nią w zaciszu gabinetu niż w jakimś miejscu publicznym.

- Wejdz - zaprosiła dziewczynę.

Kiedy Joan przyglądała się jej kolażowi, Katherine powiedziała:

- To mój pokój dzienny. A właściwie pokój-dziennik.

- Co ma pani na myśli?

- Codziennie coś nowego. Skrawki mojego życia. Ludzie, którzy mnie inspirują.

Artyści, których podziwiam. - Wskazała wycinek z „The Boston Globe”. - Artykuły, które mnie irytują. - Zachęciła Joan ruchem ręki, żeby usiadła. - Chciałaś ze mną o czymś porozmawiać?

Joan wyciągnęła pracę, którą Katherine zwróciła jej poprzedniego dnia.

- Postawiła mi pani czwórkę. - I tak byłam bardzo miła - stwierdziła Katherine.

- Zadanie polegało na tym, żeby napisać o Brueghlu. To właśnie zrobiłam.

- Nie. Zerznąłaś ze Straussa.

- Powoływałam się na eksperta.

- Gdybym chciała się dowiedzieć, co Strauss o tym myśli, kupiłabym jego książkę - powiedziała Katherine. Przekartkowała jedną ze swoich książek i znalazła reprodukcję

Wesela chłopskiego Brueghla. - Brueghel opowiadał historie. - Wskazała niektóre szczegóły na obrazie. - Odkryj te historie. Rozłóż je na części pierwsze. Mogą ci się spodobać.

Joan wpatrywała się w Katherine z niedowierzaniem.

- Daje mi pani jeszcze jedną szansę?

Joan była bystra, potrafiła myśleć. Była urodzoną liderką. Katherine wiedziała, że jest w niej coś szczególnego; miała cechy, które czyniły ją indywidualnością i sprawiały, że ciągnęło do niej inne dziewczyny.

- To moje akta? - Joan zobaczyła papierową teczkę na biurku Katherine. - Co tam jest?

48

Katherine uniosła dokumenty i przeczytała głośno to, co знаła na pamięć.

- Same szóstki...

- Aż do teraz.

- Przewodnicząca towarzystwa poetyckiego, kapitan zespołu dyskusyjnego, współprezeska klubu tenisowego i założycielka Ligi Ogrodniczej.

Joan roześmiała się.

- Wychodzi na to, że jestem nadętą sztywniarą.

- Tak, ale bardzo zajęta. I na dodatek wybierasz się na prawo. A gdzie konkretnie? - zapytała Katherine.

Joan wzruszyła ramionami.

- W zasadzie się nad tym nie zastanawiałam. To znaczy, jak już skończę college, zamierzam wyjść za mąż.

- A potem?

- A potem będę zamężna - powiedziała Joan.

Katherine zerknęła na palec serdeczny u jej lewej dłoni. Nie było na nim pierścionka zaręczynowego, w każdym razie -jeszcze nie.

- Po co wybierać pomiędzy jednym a drugim? Nie możesz wyjść za mąż i studiować?

Pomyśl o tym, tak dla samej frajdy. Gdybyś mogła wybrać dowolną szkołę prawniczą w kraju, na co byś się zdecydowała? Mam tu gdzieś broszurkę.

Jakiś czas temu znalazła w jednej ze swoich szuflad broszurę - przewodnik po szkołach prawniczych i postanowiła ją zachować, na wypadek gdyby miała się przydać którejś ze studentek. Teraz przekopywała w jej poszukiwaniu dno owej szuflady.

Joan wyszeptała coś.

Katherine uniosła wzrok.

- Słucham?

- Powiedziałam: Yale. Trzymają tam pięć miejsc dla kobiet, jedno nieoficjalnie zarezerwowane dla absolwentki Wellesley.

Katherine uśmiechnęła się.

- Ale w zasadzie się nad tym nie zastanawiałaś, prawda? Przysunęła się z krzesłem bliżej Joan. Niezbyt dobrze ją znała, lecz była przekonana, że Joan będzie świetnym prawnikiem. 4

- Uśmiech Mony Lizy

49

Rozdział 5 Parę rzeczy budzi strach Amandy Armstrong, ale na pewno nie należało do nich Spotkanie z rektor Carr. Amanda znała Jocelyn Carr od bardzo dawna. Były dobrymi, jeśli nie bliskimi przyjaciółkami, które darzyły się wzajemną sympatią i szacunkiem. Po lekturze artykułu z pierwszej strony „The baily Wellesley” Amanda nie była zaskoczona, że

doktor Carr wezwała ją do swojego gabinetu. Ale spotkanie przebiegło zupełnie inaczej, niż Amanda się spodziewała.

Jocelyn była zdenerwowana, lecz wcale nie tym, czym powinna. Usprawiedliwiała publikację Betty, zamiast nazwać ją po imieniu; nie było to nic innego jak wymierzona przeciwko Amandzie diatryba, która uradowałaby serce królewskiego lidera w polowaniu na czarownice, senatora McCarthy'ego. Amanda nie była świadoma żadnych animozji pomiędzy sobą i Betty; nawet nie pamiętała, kiedy po raz ostatni rozmawiały. Ale artykuł Betty był ni mniej, ni więcej tylko zjadliwym, personalnym atakiem.

- Jestem tu dwadziesięć lat, Jocelyn - powiedziała. Nigdy wcześniej nikt się na nianie skarżył.

Rektor Carr kitynęła głową.

- Pamiętam cię jeszcze jako studentkę.

- Jeśli to doliczyć to dwadzieścia cztery - stwierdziła Amanda. - Po co ta szopka? Środki antykoncepcyjne są dostępne od lat, i wiesz o tym.

- Ale nigdy wcześniej nie pisano o tym na pierwszej stronie. Nie chcemy, by wyszło na to, że promujemy rozwiązłość.

Amanda nie zwróciła się do Jocelyn od tej strony.

- A więc chociaż o pozory, tak? - W jej głosie słychać było gniew. - W porządku, obiecuję zachować pozory, że tego nie popieram i nie jestem postępową, ani... jak to określiła pani Warren? Aha, liberalna. Jesteś zadowolona?

Rektor Carr zignorowała sarkazm Amandy i przemówiła cichym, spokojnym głosem maskującym emocje.

- Przez większość piątkowego popołudnia starałam się przekonać absolwentki, że twójja przeszłość jest nienaganna, że nigdy więcej tego nie zrobisz i podpiszesz odpowiednie zobowiązanie.

Amanda spojrzała na nią z wściekłością.

- Nie podpiszę żadnego...

- Nieważne - przerwała jej Jocelyn. Uniosła wzrok, zmuszając się do spojrzenia Amandzie w oczy. - Postanowiły, że masz odejść, Amando.

50

- Postanowiły, że mam odejść? Ale to ty jesteś rektorem. - Amanda usłyszała w swoim głosie błagalną nutę i poczuła się zupełnie malutka.

Rektor Carr podniosła się. Spotkanie dobiegło końca.

- Daj spokój, Amando. Naiwność do ciebie nie pasuje. Obawiam się, że nie mam wpływu na tę sprawę.

Wieści o zwolnieniu Amandy szybko się rozeszły. Nancy powiedziała o tym Katherine przy kolacji.

- Pakuj się na gorze. Chce wyjechać stąd jak najszybciej.

Katherine nie miała tego wieczoru apetytu. Już teraz brakowało jej obecności Amandy przy stole. Skończyła szybko jedzenie, pomogła Nancy ze zmywaniem i pobiegła na górę, do pokoju Amandy.

Drzwi były uchylone. Katherine nie zwracała sobie głowy pukaniem. Weszła i powiedziała:

- Słyszałam. Tak mi przykro.

Walizki były pootwierane, a na łóżku leżały w kupkach porządnie poskładane ubrania. Amanda miała podpuchnięte oczy, ale zdobyła się na uśmiech i powiedziała spokojnie:

- Dziesięć lat temu daliby mi po łapach. Teraz mamy komisję, która zajmuje się ochroną wszystkiego.

Katherine pokręciła głową. Nic z tego nie miało żadnego sensu.

- Uważają, że jesteś niebezpieczna?

- Nie, skarbie. Wywrotowa. - Amanda roześmiała się; nie było w tym jednak wesołości. - Doszło do tego, że już nie wiadomo, kto kogo chroni i przed czym. - Wyciągnęła kolejną szufladę i wyjęła bieliznę. - Powinnam była wyjechać po śmierci Josephine. Oddają mi przysługę, naprawdę.

Rozległ się dzwonek do drzwi i Katherine usłyszała, jak Nancy wita swoich gości.

Potem do jej uszu dobiegł śmiech i dziewczęca paplanina. Zdziwiona spojrzała na Amandę, która odpowiedziała jej drwiącym uśmiechem.

- Ach, wykłady przedmażeńskie - powiedziała Amanda. - Nie mówiła ci?

Katherine pokręciła głową. Amanda skrzywiła się.

- Nie umiałabym tego ubrać w słowa. Poza tym nawet tysiąc słów nie jest w stanie oddać tego widoku. Sama zobacz.

Katherine wahała się. Czy Amanda wysyłała ją na dół, bo chciała zostać sama, żeby w spokoju się spakować? A może chciała, żeby dotrzymać jej towarzystwa, tylko nie wiedziała, jak ją poprosić, by została?

51

- Poradzisz sobie?

- Jasne. - Amanda przegoniła Katherine do holu. - Idź już. Czeka cię prawdziwa uczta. - Pomachała jej ostrzegawczo palcem. - Tylko nie pozwól, by cię namówiła, żebyś tam została.

Pod wpływem impulsu Katherine cmoknęła Amandę w policzek. Oczy Amandy natychmiast zaszyły łzami, które szybko wytarła wierzchem dłoni.

- Idź - powtórzyła, nie dając Katherine wyboru. Zmusiła się do uśmiechu, a potem pospiesznie wróciła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Katherine żałowała, że nie zapytała Amandy, czy ma dokąd pójść i co będzie dalej robić. Ledwie ją знаła, ale zdążyła bardzo polubić. Amanda była miłą, troskliwą osobą o dziwnym światopoglądzie i ironicznym poczuciu humoru. Idealne antidotum na chorobliwie optymistyczną osobowość Nancy.

Katherine zaczął dręczyć niepokój: czy Amanda ma rodzinę albo przyjaciół, u których może się zatrzymać? Czy bez większych problemów uda jej się znaleźć nową pracę? Jak musi się czuć, opuszczając miejsce, które od tylu lat było jej domem?

Próbując wczuć się w położenie Amandy, Katherine powoli schodziła po schodach. W połowie drogi zerknęła do jadalni. Stół był nakryty na dwanaście osób najlepszą porcelaną i sztucami Nancy. Pośrodku stołu znajdowała się kwietna dekoracja otoczona lasem kieliszków do wina i wody.

Pod jedną ze ścian stały duże, tekturowe plansze. Na każdej z nich znajdowało się przesłanie, starannie wypisane wielkimi, drukowanymi literami:

JAK WYSIADAĆ Z SAMOCHODU

JAK ZAKŁADAĆ NOGĘ NA NOGĘ

JAK SIĘ ZACHOWAĆ, KIEDY MEŹCZYZNA POMAGA CI ZDJĄĆ PŁASZCZ

JAK POWIEDZIEĆ „NIE”

JAK POWIEDZIEĆ „JAK”

Stłumiła śmiech żalując, że nie ma aparatu fotograficznego; mogłaby przesłać fotografię tej sceny Paulowi.

Nancy odwróciła się i zauważyła przyglądającą się zza barierki Katherine.

- Przyłączysz się do nas? - Nancy wskazała planszę z napisem: JAK

POWIEDZIEĆ JAK".

Katherine widziała już dość. Nie chciała urazić Nancy. Nancy była świetną dziewczyną, ale Katherine nie rozumiała jej poglądów na pewne sprawy. Wydawało się, że naprawdę wierzy w te bzdury. Potrafiła mówić o „stosownych tematach do dyskusji” i „przyszłości męża” z absolutnie

52

poważną miną, zupełnie jakby przyszłość jej studentek była sprawą drugorzędną i zależała od odpowiedniego wyboru mężczyzny.

Katherine musiała zaczerpnąć świeżego powietrza, napić się, zmienić otoczenie na mniej wyszukane, bardziej przyziemne. Bez słowa pożegnania wyskoczyła za drzwi.

Dziewczęta w końcu się uciszyły i zajęły miejsca przy stole. Jak zwykle, Joan, Connie, Giselle i Betty trzymały się razem. Nancy usiadła u szczytu stołu, a na jej twarz wypłynął łaskawy uśmiech gospodyni doskonałej. Siedziała wyprostowana, nie dotykając plecami oparcia krzesła, z dłońmi złożonymi na kolanach. Już wcześniej wpoila dziewczętom, że łokcie nigdy nie mogą znajdować się na stole; w czasie jedzenia jedna ręka powinna zawsze pozostać na kolanach. Teraz klasnęła w dłonie, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

Uważała, że udzielanie lekcji przedmażeńskich jest zaszczytem. Czuła się uprzywilejowana, ucząc dziewczęta, jak mają zadbać o stworzenie w swoich domach komfortowej, przyjemnej atmosfery. Nie wystarczała dogłębna znajomość literatury angielskiej, historii Ameryki, sztuki czy socjologii. Musiały też wiedzieć, jak skomponować odpowiednie menu, jak nakryć do stołu, jak pomóc mężom w rozwoju ich kariery.

Dzisiaj miała przerabiać jeden ze swoich ulubionych tematów: jak zabawiać gości.

Zaczekała, aż wzrok wszystkich skupi się na niej, potem powiedziała:

- Twój mąż stoi na rozdrożu jeśli chodzi o karierę. Współzawodniczy 0 awans z dwoma rywalami, Smithem i Jonesem. Żeby zyskać nad nimi przewagę, postąpiłaś bardzo mądrze, zapraszając na kolację o dziesiętnastej jego szefa z żoną. Starannie zaplanowałaś menu, nakryłaś do stołu i wynajęłaś opiekunkę do dzieci.

- Mamy dzieci? - przerwała jej Giselle.

- Ja mam bliźniaki! - zawołała Connie. Nancy zignorowała je. -1 nagle niespodzianka! Jest szósta piętnaście, a twój mąż dzwoni i mówi, że na życzenie szefa, na kolacji będą również Smith i Jones wraz z żonami. Jako absolwentka Wellesley, zachowujesz spokój i domyślasz się, że pewnie szef sprawdza cię tak samo, jak twojego męża. Co dalej?

Choć niewiele z nich by się do tego przyznało, część dziewczyn uważała, że lekcje przedmażeńskie są bardzo użyteczne. Niektóre nawet robiły notatki. Ale nie Giselle, która nie zamierzała poślubić mężczyzny, dopóki nie będzie go stać na kucharkę, pokojówkę i nianię.

53

11 u\ ki\ kiivl;i. - Składam pozew o rozwód! imiać. Nancy, zmuszając się do zachowania I ipialti /i- /iości, że studentki nie traktują poważnie przeze/ i n. i m;|ili ości, uformowała zaciśnięte usta w uśmiech, h as.li.I zabawne. Problem w tym, że to nie dowcip. Za parę lat i\

ni tilmu iązkiem będzie dbanie o męża i dzieci. Możecie mm ni / łatwością same szóstki, ale tak naprawdę liczyć się I | i.i ocena, którą on wam wystawi, nie ja. • ma mówi? szepnęła Connie do Giselle. przewróciła oczami. Jakby nie wiedziały... ic ic na nowo nakryć do stołu, zmodyfikować plan posiłku i listę \ iednich tematów do dyskusji, dzieląc je na podkategorie: rozmo-| i i 'i tod posiłkiem, w trakcie, i żarty po posiłku.

Bett> słuchała jednym uchem. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale uważała te wykłady nie tylko za użyteczne, ale zarazem interesujące. I)/.isiaj jednak była zbyt zaabsorbowana przygotowaniem do wesela, żeby się w pełni skupić. Matka zaaprobowała jej plan rozmieszczenia gości; dzisiaj Betty musiała wypisać kartoniki z nazwiskami i podrzucić je potem do firmy cateringowej.

Zgodnie z życzeniem pani Warren, jej asystentka sporządziła kolorową listę rzeczy do załatwienia i zrobiła po kopii dla siebie, człowieka od cateringu, pani Warren i Betty, żeby każde z nich wiedziało, co kto musi zrobić i do kiedy.

Matka Betty oprawiłajednakopię w ramki, żeby Betty powiesiła ją sobie nad biurkiem, na pamiątkę ciężkiej pracy podczas przygotowań do jej wesela.

Betty skrywała kartoniki przed wzrokiem Nancy; zasłaniała je jedną dłonią, żeby drugą mogła wypisywać nazwiska.

Giselle wiedziała, czym Betty jest pochłonięta. Nachyliła się i powiedziała głośnym szeptem:

- Cokolwiek robisz, nie sadzaj żony szefa obok twojego męża.
- Dlaczego nie? - zapytała Betty, ledwie słuchając wykładu Nancy.
- Bo się z nim pieprzy - odparła Giselle, zanosząc się śmiechem.
- Nienawidzę cię - syknęła Betty.

Nancy rozdała notatniki, w których dziewczęta miały naszkicować plan rozmieszczenia gości.

- Pamiętajcie, przyszłość waszego męża zależy od tego, jak poradzicie sobie z tym zadaniem. Macie pół godziny.

- Co ona może wiedzieć o mężach? - szepnęła Connie do Betty. Betty zachichotała.

54

- Wszystko. - Delikatnie potarła swój zaręczynowy pierścionek z brylantem, amulet, dzięki któremu czuła się bezpieczna. - Oprócz tego, jak jakiegoś złowić.

Katherine chwyciła ze stojaka swój rower i popedałowała Main Street, która o tej porze była prawie pusta; skierowała się do Blue Ship, bezpretensjonalnego baru, gdzie często grał zespół jazzowy.

Przed barem stała alfa romeo Billa Dunbara. Katherine weszła do środka i usiadła przy barze obok Billa.

Przywitał ją skinieniem głowy.

- Słyszałem o Amandzie - powiedział. - Przykro mi, mała.

- Jakoś się trzyma. Radzi sobie lepiej niż ja bym potrafiła na jej miejscu. Nie dają tu zbyt wielu szans, prawda?

- Zależy od tego, jak bardzo twoja obecność jest im nie na rękę - odparł Bili. - Mogę postawić ci drinka? A może przysłaś na kolację?

- Ile trwają wykłady przedmażeńskie? - zapytała, zastanawiając się, czy miał na myśli wspólną kolację.

Bili przywołał ręką kelnerkę.

- Stolik we wnęce dla tej pani.

- Na dwie osoby? - zapytała kelnerka.

Bili spojrzał na Katherine, która się uśmiechnęła.

- Na dwie osoby.

Zamówili burgery i butelkę czerwonego winą a potem znaleźli jeszcze miejsce na szarlotkę i kawę po irlandzku. Katherine bawiła się o wiele lepiej, niż gdyby została w domu z Nancy, przyswajając wiedzę na temat rozmieszczenia gości czy jak zachować się, kiedy mężczyzna podaje ci płaszcz.

Po cięcie i kawie Bili zamówił dla nich po szklaneczce szkockiej. Katherine nie widziała żadnego powodu, dla którego miałyby się nie napić. Rozmowa stawała się coraz głębsza i bardziej interesująca, Bili zamówił kolejną kolejkę, a ona starała się utrzymać w pionie.

Bar był już prawie pusty, ale Bili wcale nie spieszył się do wyjścia, ona również. Zaczął mówić o tym, że jego pasją jest uczenie, wprowadzanie studentek w świat zupełnie nowego języka i kultury.

- Staralem się stworzyć program, w którego ramach dziewczęta mogłyby mieszkać w innym kraju i tam uczyć się języka...

- Właśnie tam nauczyłeś się włoskiego? - przerwała mu, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego przeszłości. - We Włoszech?

- Tak - odparł, nagle zmieniając temat. - Masz chłopaka?

- Tak. - Czuła się nieswojo, rozmawiając o Paulu.

55

- Gdybyś była moja, nie pozwoliłbym ci wyjechać - rzekł, mieszając resztkę swojej szkockiej.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie prosiłabym o pozwolenie.

- Mówią, że jesteś postępową. - Skakał z tematu na temat. - Nowoczesna. To prawda?

- Oni tu naprawdę lubią przyklejać ludziom etykiety. Odpowiednie rodziny, odpowiednie szkoły, odpowiednia sztuka, odpowiedni sposób myślenia.

Uśmiechnął się szeroko.

- Dzięki temu nie trzeba się trudzić, żeby samodzielnie myśleć. Teraz była już trzeźwa i rozgniewana.

- Dlaczego to dla ciebie takie zabawne? Nie obchodzi cię to? Nie chcesz do nich dotrzeć?

- Katherine Watson przybywa do Wellesley, żeby nas wyswobodzić?

Daj spokój.

Był zabawnym kompanem, ale też zachowywał się w protekcyjny sposób, co ją dotknęło. Rzuciła na stół dość pieniędzy, żeby pokryć jej część rachunku.

- Dzięki za drinka - powiedziała, zbierając się do wyjścia.

- Zabierz swoje... - Chwycił ją za rękę. - Zaczekaj, Katherine. Tylko żartowałem. Słuchaj, oni tu mają specyficzny sposób załatwiania spraw. Musisz się nauczyć z nimi współpracować. Jak my wszyscy.

Odwróciła się i spojrzała na niego z wściekłością.

- Przepraszam - rzekł skruszony. - Nie chciałem cię urazić. Jezu, ale masz charakter. A teraz uspokój się i dokończ swojego drinka, Mona Lizo.

- Dlaczego tak mnie nazywasz? - zapytała.

- Chodzi o twój uśmiech.

Odrzuciła do tyłu głowę, śmiejąc się głośno, z całego serca; śmiech oczyścił jej myśli, prawie gojąc samotność. Mona Liza... mogło być o wiele gorzej. A flirtowanie z Billem z pewnością biło na głowę przysłuchiwanie się wykładowi Nancy na temat małżeństwa. Może i nie miał najlepszej reputacji, ale umiał zachować się jak dżentelmen. Nagle zaczęła się zastanawiać, czyj głos słyszy w swojej głowie. Reputacja? Zachować się jak dżentelmen? Nie

spędziła tu nawet pół roku, a już zamieniała się w najgorszy koszmar Paula: snobkę, która wszystkich ocenia.

- Musisz przeforsować swój pomysł programu studiów za granicą. Jesteś to winien tym dziewczętom - powiedziała.

Zaśmiał się, ale nie było w tym rozbawienia, raczej gniew.

56

- Zostały mi dwa lata do dożywotniej posady. Jestem winien sobie, żeby tego nie robić.

- Co za szkoda - mruknęła ze współczuciem.

Ponownie się roześmiał, ale tym razem w jego głosie nie było słycać rozgoryczenia.

- Może spróbuję zrobić jeszcze jedno podejście do tego pomysłu z zagranicznymi studiami. Masz rację. To dobry idea.

Katherine była zaskoczona, wręcz zdumiona, kiedy otrzymała zaproszenie na wesele Betty Warren. Nancy wyjaśniła jej, że ponieważ matka Betty jest przewodniczącą Stowarzyszenia Absolwentek, Warrenowie zaprosili prawie wszystkich wykładowców.

Nancy uznała też, że to bardzo wspaniałomyślne z ich strony.

A może raczej ostentacyjne, pomyślała Katherine.

Ceremonia odbywała się w ewangelickim kościele świętego Jana. Przed kościołem zatrzymał się długi sznur olbrzymich, amerykańskich krążowników szos. Kiedy Katherine i Nancy wchodziły po schodach, fotoreporterzy rzucili się w stronę samochodów, by pstrykać fotki gościom wyłaniającym się w swoich najelegantszych, oficjalnych strojach popołudniowych. Atmosfera bardziej przypominała koronację niż wesele.

- Jestem cała spięta - powiedziała Nancy. Wiele godzin zastanawiała się nad wyborem stroju. Po konsultacji z Katherine i innymi wykładowcami oraz przyjaciółmi zdecydowała się na krótką niebieską sukienkę z dobranym do niej niebieskim kapeluszem.

- Wyglądasz pięknie - zapewniła ją Katherine. - Chodź, wejdziemy do środka.

W drzwiach zatłoczonego kościoła powitał je odziany w smoking młodszy druhba, pytając, czy są ze strony panny młodej, czy pana młodego. Posadził je po stronie Betty, a chwilę później do ławki obok Katherine wśliznął się Bili.

- Słyszałaś kiedyś powiedzonko, że trudno dorównać Jonesom? - zapytał.

- Oczywiście. - Spojrzała z boku na Billa, który miał na sobie smoking, szarfę i szelki.

Bili przechylił głowę w stronę rodziców pana młodego.

- Państwo Gordonowie Jones. Autentyczna historyczna rodzina, o której wymyślono to powiedzenie.

Katherine skryła uśmiech za odzianą w rękawiczkę dłoń.

- Dobrze wiedzieć. To dopiero wydarzenie. Nie mogę uwierzyć, że zostałam zaproszona.

57

- Rozejrzyj się. A kto nie został?

Kiedy przyglądali się tłumowi, obok przeszła Giselle ze swoim partnerem. Choć nawet nie kiwnęła głową Katherine ani Billowi, Katherine zobaczyła, że dłoń musnęła przelotnie rękę Billa.

- Twoja studentka?

- Nie, miałem ją w zeszłym roku - odparł Bili. - No tak.

Rozejrzała się wokół, napotykając spojrzenie Joan. Joan wskazała jednego z družbów i bezgłośnie powiedziała: „To on”.

Joan opowiedziała Katherine o Tommym tego samego dnia, kiedy przyszła do jej gabinetu po formularz podania na wydział prawa w Yale. Kiedy Katherine zapytała, co Tommy myśli

o tym, że ona ubiega się o przyjęcie na studia prawnicze, Joan przyznała z pewnym skrępowaniem, że jeszcze mu nie powiedziała o swoich planach.

Katherine wyciągnęła szyję, żeby lepiej przyjrzeć się Tommy'emu, a potem uśmiechnęła się do Joan i wyraziła swoją aprobatę skinieniem głowy. Potem Joan wskazała Spencera Jonesa, pana młodego. Był przystojnym chłopakiem, choć o nieco nijakiej twarzy, ale on i Berty tworzyli ładną parę. Pasowali do siebie.

Ceremonia ślubna, choć anglikańska, odbywała się z całą rzymskokatolicką pompą, której splendoru dodawała jeszcze uroda panny młodej i elegancja jej orszaku.

Ale dopiero na przyjęciu weselnym, odbywającym się w olbrzymiej sali balowej Boston Copley, organizacyjne talenty matki Berty wydały prawdziwe owoce. Pan Warren poinstruował żonę, że ma nie szczędzić wydatków, planując wesele ich córki. Pani Warren trzymała go za słowo.

Zgodnie z tym co mówiła Nancy, chodziły słuchy, że przyjęcie weselne Berty i Spencera miało być jednym z najbardziej ekstrawaganckich, jakie kiedykolwiek wydano w Bostonie. Nancy, która była nadzwyczaj dobrze poinformowana w tych sprawach, z rozkoszą zdawała Katherine raport ze wszystkich szczegółów, którymi podzieliła się z nią Berty.

Katherine i Nancy przybyły dokładnie w chwili, kiedy otwarto na oścież złożone drzwi sali balowej. Sala była przepięknie udekorowana rzędami nieskazitelnie białych róż, które tego ranka przyleciały z Kalifornii. Wokół sali pod ścianami ustawiono dwadzieścia pięć stołów, każdy na dwanaście osób, tak żeby gościom zostało jeszcze dużo miejsca na tańce przy muzyce trzydziestoosobowej orkiestry.

Berty i jej matka zdecydowały, by dominującym kolorem wystroju była biel, nie żeby symbolizować niewinność, jak snuł ironiczne domysły Bili, lecz aby uniknąć powielania jesiennej kolorystyki, której ofiarą padało

58

tylko innych jesiennych panien młodych. Obrusy na stołach były w kolorze złamanej bieli, biała porcelanowa zastawa miała złote wykończenia; pośrodku stołów stały bukiety z białych i różowych storczyków otoczone złotymi świecznikami z białymi świecami.

Nancy i Katherine odebrały swoje miejscówki. Nie były zaskoczone, kiedy okazało się, że zostały posadzone przy jednym stole.

- Chodź - powiedziała Nancy, prowadząc Katherine przez tłum paplających gości. - Zdajesz sobie sprawę, kto tam jest? Wnuk J.P. Morgana. A tam Binky i Boaty z Philadelphia Biddles. Gubernator jest tuż za tobą. Nie odwracaj się!

Katherine nigdy nie słyszała o czymś takim jak Philadelphia Biddles, ale Binky i Boaty były atrakcyjnymi dziewczynami, które na pierwszy rzut oka wydawały się stosunkowo normalne, pomimo swoich dziwacznych imion, Ignorując napomnienie Nancy, żeby się nie przyglądała gubernatorowi, odwróciła się i zobaczyła, że gubernator się do niej uśmiecha, ku wyraźnej dezaprobachie swojej żony.

Nancy w końcu znalazła ich stolik.

- To tutaj, zaraz przy parkiecie. - Ściągnęła okulary i włożyła je do swojej wieczorowej torebki. - „Mężczyzn rzadko pociągają dziewczyny w okularach” - zacytowała Dorothy Parker, dziennikarkę „New Yorkera” i honorową członkinię Algonquin Round Table.

Przy ich stole siedziały również Violet Albin i pani Babcock, kierowniczką kwaterunku.

- Cudowny zespół. - Violet usiłowała nawiązać rozmowę z mężczyzną, który przypadkiem stanął przy ich stoliku, ale on tylko kiwnął głową, po czym odszedł bez słowa.

Ożywiła się, kiedy podszedł Bili i nachylił się, żeby spojrzeć na kartoniki z nazwiskami.

- Nie masz nic przeciwko temu? - spytał Violet, zamieniając kartoniki, żeby siedzieć pomiędzy nią i Katherine.